

Dziś w numerze ● T. WOJCIECHOWSKA **Decybele w ofensywie** ● **Przeklęta, błogosławiona**
 ● J. MACH **Panie przed kamerą** ● A. NONAS **Księgarz—zawód stary i piękny** ● **Rekonesans**
w poszukiwaniu urody ● **Wykształcenie: dyrektor** ● **Zewsząd o wszystkim**

odgłosy



18. I. 1970 r.
 3 (635)
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot.: E. Kudaj

Dni pierwsze

DLA WIELU MŁODYCH POLAKÓW PIERWSZE DNI ŻYCIA SPOŁECZNEGO NASZEGO NARODU PO ZAKOŃCZENIU WOJNY, TO JUŻ DZIŚ ODLEGAŁA HISTORIA, OBROŚŁA HEROICZNĄ LEGENDĄ.

Kontrast między sytuacją podczas pierwszych dni wolności a czasem dzisiejszym uzmysławia miarę i wielkość drogi, jaką przebyliśmy przez ostatnie ćwierćwiecze. Ażeby choć po części wyobrazić sobie atmosferę i koloryt tamtych czasów publikujemy wyjątki z protokółów posiedzeń władz powiatowych w Łęczycy i miejskich w Sieradzu. Dokumenty te są niezwykle żywą ilustracją trosk i kłopotów, jakie towarzyszyły pokoleniu wyrosłemu z wojny. Jakże odmienne było tamto życie. Albo raczej jakże odmienne od tamtego jest nasze życie. Uświadomieniu sobie tej różnicy niech po służy, choć w pewnym stopniu, niniejsza publikacja.

ŁĘCZYCA

(Wyjątki z protokołu Powiatowej Rady Narodowej)

„16. 2. 45. W wolnych wnioskach poruszano sprawę wolnego handlu. Ob. Jesse wyjaśniła, że państwo opie ra swój handel na kooperatywach i spółdzielniach. Wolny handel rodzi natomiast spekulację, a spekulacja bije robotnika.

Na odśpiewaniu Roty konferencję zakończono”.

„23. 2. 45. W wolnych wnioskach głos zabrała Anna Jesse informując zebranych o dniu święta Armii Czerwonej, Wojska Polskiego i ich Wodzów”.

„20. 3. 45. Przystąpiono do sprawy Reformy Rolnej. Ob. Zarębski zaznajomił zebranych z ogólnymi wytycznymi, podkreślając, że Reforma Rolna będzie dokonana od 1 kwietnia br. Rząd obecnie nie czyni

cznych obietnic, jak to było dawniej, lecz zamiary swe realizuje natychmiast”.

„12. 4. 45. Na terenie Rady i powiatu współpracują z sobą wszystkie cztery ugrupowania polityczne. Istnieje Międzypartyjny Komitet Porozumiewawczy. Powiat łączycyki wykaż w ostatnich tygodniach wyjątkowo duże ożywienie polityczne. W najbardziej odległych i zapadłych punktach powstają komórki organizacyjne stronnictw politycznych. Życie gospodarcze jeszcze nie potrafiło się rozwinąć w stopniu dostatecznym, lecz i w tym zakresie jest dużo dobrej woli. Poważne niedociągnięcia są w zakresie aprowizacji. Życie kulturalne i oświatowe rozwija się normalnie i przybiera na sile. Na terenie powiatu są trzy szkoły średnie”.

„13 — 14. 4. 45. Powiatowa RN wychodząc z założenia, że dokończenie rozpoczętej budowy baraku szpitalnego w Łęczycy jest sprawą niezmiernie wielkiej wagi uchwała wystąpić z wnioskiem do Urzędu Wojewódzkiego o subwencję w wielkości 288.077,16 zł. Uchwalono tego dnia cennik opłat za leczenie w szpitalu chorych:

1. dla dzieci do lat 6-ciu 20 zł. dziennie,
2. dla osób dorosłych po 25 zł. dziennie.

Za leczenie ambulatoryjne: opatrunkę mały — 5 zł.; większy — 8 zł.; gipsowy — 20 zł.; amputacja palca — 5 zł.; narkoza — 25 zł.; rwanie zęba — ze znieczuleniem — 15 zł.;

Powiatowa Rada Narodowa uchwałała diety dla członków Rady w wysokości zł. 100 za udział w posiedzeniu.

Akcja reformy rolnej na terenie Łęczycy została wykonana w 100 procentach.

Dalszy ciąg na str. 3

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zanim stał się dzień wolności

Ruszyła ofensywa i od tej chwili ministrowie zbierali się każdego dnia w pokoju premiera Osóbki-Morawskiego, aby omawiać przebieg organizacji władzy na wyzwolonych terenach. 19 stycznia 1945 roku minister administracji publicznej — Józef Maślanka, mówił o organizowaniu władzy w Radomsku, Piotrkowie Trybunalskim, Nasielsku, Ciechanowie, Sochaczewie, Łowiczu i Skierniewicach.

Do pokoju cicho wszedł major i podał generałowi Michałowi Roli-Zymierskiemu kopertę. Generał szybko ją rozerwał i wyjął kartkę. Spojrzał. Wstał i powiedział:

— Wojska I Frontu Białoruskiego marszałka Żukowa wyzwolili przed godziną Łódź!

• • •

Ludzka pamięć jest zawodna. Nie wszystko utrwalono w dokumentach, a i przedział 25 lat zrobił swoje. Trzeba więc obraz dni poprzedzających wyzwolenie budować ze strzępów ludzkiej pamięci, z fragmentów zapisanych przekazów, z tego, co pozostało po tamtym czasie.

Na Łódź szły szybkim marszem wojska radzieckie. Wiedzieli o tym Niemcy. Wiedzieli również i ci wszyscy, którzy nie chcieli na wyzwolenie czekać biernie, którzy przygotowywali pierwszy dzień wolności na długo przedtem, nim zawitała nadzieja, że nadejdzie.

WYJAZD NA CHWILĘ

Stanisław Bieńkowski wstał rano i szykował się do pracy. Niemcy nie byli już

tacy-buśni jak dawniej, ale lepiej było nie spóźniać się i nie zadzierać z szefem hurtowni tytoniu Maksem Sutterem, który brata miał w Gestapo. Na ulicy było niespokojnie. Niemcy ładowali swoje rzeczy na samochody, na furmanki i na wózki.

W hurtowni też nie było spokojnie. Maks Sutter palił papiery, a na zdziwione spojrzenie Bieńkowskiego powiedział:

— My wyjeżdżamy tylko na chwilę, na kilka dni. Niedługo powrócimy.

Nie było w tym ani groźby, ani pewności siebie, było usprawiedliwienie. Zrozumiał widać to sam, bo po chwili dodał:

— Gdybyśmy długo nie wracali, to możecie wziąć sobie ile chcecie papierosów i tytoniu.

To było 15 stycznia 1945 roku. Tego dnia, kiedy po długich latach tułaczki wracali do Łodzi Mieczysław Pawlak i Henryk Kiedrzyński. Niemcy obstawili dworce i nikogo nie wpuszczali do miasta. Wszystkich przyjezdnych kierowali na południe i zachód razem z ewakuowanymi. Pawlak i Kiedrzyński poszli torami do ul. Limanowskiego i weszli niespostrzeżenie do miasta.

Niemcy uciekali pociągami, samochodami, a nawet tramwajami w kierunku Pabianic. Na ulicach pełno było wojska. Nad Łodzią krążyły radzieckie samoloty. Nie-

miecy żołnierze przygotowywali miasto do zniszczenia.

RAJD BEZ PALIWA

Do sztabu I Frontu Białoruskiego dotarła wiadomość o tym, że Niemcy przygotowują zniszczenie Łodzi. Postanowiono przeszkodzić. Wezwał do siebie marszałek Żukow dowódcę I Gwardyjskiej Armii Pancerniej — generała M. Katukowa i powiedział:

- Oskrzydlisz szybkim marszem Łódź.
- Nie starczy mi paliwa.
- Jesteś żołnierzem i musisz paliwo zdobyć sam.

Od wschodu i północnego wschodu otoczyły miasto oddziały grup gen. S. Tichonczuka, 28 korpusu piechoty gen. A. Ryżowa i 11 korpusu pancernego gen. F. Rudnina. Od południowego wschodu oddziały 9 korpusu pancernego gen. I. Kiriczienki. Oddziały 69 Armii gen. W. Kolpakczego otrzymały rozkaz zajęcia miasta. Niemcom pozostawiono wolną drogę na Pabianice i Aleksandrów. Dobrze zrozumieli radziecki manewr. Dawał im szansę ratowania skóry za cenę pozostawienia w spokoju

Dalszy ciąg na str. 3



Wizyta premiera O. Czernika w Warszawie, zakończona opublikowaniem w niedzielnej prasie komunikatem, była kolejnym przejawem znormalizowania stosunków między Polską i Czechosłowacją po zakłoceniach, jakie wynikły z ataku sił prawicowych w kraju naszego południowego sąsiada. Czechosłowacja zdołała zwycięsko wyjść z kryzysu politycznego i społecznego, i bieżący rok, co podkreślił nasz gość przed kamerami polskiej telewizji, przyniesie zapewne zakończenie procesu konsolidacji. Przede wszystkim — podkreślił premier rządu czechosłowackiego — chodzi o umocnienie władzy socjalistycznej i zapewnienie marksistowsko-leninowskiego kursu KPCz.

Konsekwentne działanie obecnego kierownictwa CSRS przyczyniło się do odbudowy dobrych stosunków z krajami socjalistycznymi. O. Czernik mógł przeto stwierdzić, iż „atmosfera wzajemnego zaufania, braterstwa i współpracy towarzyszy każdemu naszemu krokowi” oraz że „stworzone zostały pomyślne przesłanki dla procesu konsolidacji wewnętrznej w Czechosłowacji”.

Rozmowy warszawskie, których głównym celem było omówienie stosunków dwustronnych, zapewniły pomyślny ich rozwój. Wymieniono również poglądy na tematy międzynarodowe, dając wyraz wspólnemu na nie stanowisku. Dotyczy to europejskiego bezpieczeństwa i pokojowej współpracy krajów naszego kontynentu, którym to zagadnieniom ma być poświęcona europejska konferencja, kwestii rozbrojenia (pozwitano pomyślny przebieg wstępnych rozmów w Helstinkach), sytuacji na Bliskim Wschodzie i w Wietnamie...

Temu ostatniemu tematowi poświęcimy dalszą część dzisiejszego komentarza.

Doniesienia agencji wskazują, że po krótkotrwałym zawieszeniu walk w okresie noworocznym, znów nastąpiła aktywizacja działań. W ostatnich dniach bombowce amerykańskie dokonywały nalotów na bliskie rejony Sajgonu, co miało świadczyć, iż tam właśnie nastąpiła pewna koncentracja oddziałów wyzwolenczych. Równocześnie agencja informuje o dalszych smutnych akcjach partyzantów. Według źródeł USA, właśnie w ub. tygodniu liczba zabitych w wojnie Amerykanów przekroczyła 40 tys.

W tym samym czasie odbyła się konferencja prasowa sajskiego prezydenta Thieu. Odpowiadając na pytania Thieu wyjął, że proces tzw. wietnamizacji wojny, czyli zastępowania oddziałów amerykańskich — reżimowymi musi trwać wiele lat. Wietnam Południowy — powiedział on — gotów jest do stopniowego przejmowania ciężaru wojny tylko pod „bardzo ważnymi warunkami”: „rząd amerykański musi nam udzielić pomocy, musi zapewnić odpowiednie wyposażenie naszym wojskom, fundusze i przeszkolenie”.

O koncepcji Nixon „wietnamizacji” wojny pisaliśmy na tym miejscu kilkakrotnie. Wobec wypowiedzi Thieu warto do zagadnienia powrócić raz jeszcze i to w nieco innym aspekcie.

Decyzja o „wietnamizacji” wynika z potrzeb wewnętrznej i zagranicznej polityki USA. Zakłada ona rozwiązanie konfliktu na drodze militarnej — przez wymuszenie na stronie przeciwnie uznania legalności sajskiego reżimu. Wycofywane oddziały amerykańskie (do końca br. podobno 150—200 tysięcy żołnierzy) mają być zastąpione przez rozbudowane siły zbrojne Sajgonu. Zważywszy jednak mniejszą wartość bojową żołnierza reżimowego w stopniu I do 3. Więcej — dywizja reżimowa nadal mają być wspierane przez lotnictwo i artylerię USA. Tak więc „wietnamizacja” właściwie nigdy nie będzie oznaczała rezygnacji Stanów Zjednoczonych nie tylko z pośredniego, lecz i bezpośredniego udziału w wojnie. Będzie zatem kontynuacją agresji.

Warto rozważyć polityczne następstwa tej decyzji.

W przekonaniu Nixon zmniejszenie liczby amerykańskich żołnierzy w Wietnamie ma dać świadectwo dobrej woli Waszyngtonu, uspokoić wewnętrzną opinię w Stanach Zjednoczonych, umocnić władze sajskie i wskazać na nie jako gospodarza Wietnamu Południowego.

Są to jednak tylko założenia, które nie mogą się sprawdzić. Konfliktu wietnamskiego nie można rozstrzygnąć inaczej niż tylko na drodze politycznej. Tymczasem rokowania paryskie, które stwarzają taką możliwość, świadczą, iż USA chcą się wykorzystywać do wspierania swej linii postępowania. Nie jest to więc przejaw żadnej „dobrej woli”.

Nie może również uspokoić amerykańskiej opinii publicznej, coraz głośniejszemu domagającej się zakończenia wojny, powrót do rodzin części z walczących w Wietnamie żołnierzy. W dalszym ciągu bowiem giną będą inni.

Wreszcie stawka na Thieu i umocnienie jego reżimu, i tak wąska baza polityczna, na jakiej się on opiera, wobec braku bliskich perspektyw politycznego rozwiązania konfliktu, ulega dalszemu zawężeniu. Obserwujemy nie spotykane dotąd ożywienie niekomunistycznej opozycji, która wypowiedzi się za rządem pojednania narodowego. Można więc oczekiwać nasilenia się wewnętrznej walki politycznej i zbliżenia się niektórych ugrupowań do Frontu Wyzwolenia Narodowego.

Czy właśnie nie z tego właśnie powodu Thieu tak mocno akcentował, że „wietnamizacja” musi być procesem WIELOLETNIM?

W. ŚLAWSKI

Zawszqd o wszystkim

Zawszqd o wszystkim

Strategia masowego terroru

Wróg nr 1

AGENCJA WYZWOLENIE — WIETNAM POŁUDNIOWY

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” — PARYŻ

Rząd Nixona odżegnuje się od zbrodni w Song My, utrzymując, iż owej krwawej „operacji” dokonano przed dojściem do władzy nowego prezydenta. Jednakże fakty świadczą, że i obecnie wojska USA kontynuują w Wietnamie taktykę spalanej ziemi i masowej eksterminacji ludności cywilnej.

W ciągu 300 dni sprawowania władzy przez Nixona, od 20 stycznia do 20 listopada 1969 roku, Stany Zjednoczone i ich sajskie marionetki dążyły do masowego wyniszczenia ludności i całkowitego spustoszenia Południowego Wietnamu. Zaostrza ją represje wobec ludności miast i wsi, wzmagają bombardowania, stosując gazy trujące, nasilają bombardowanie artyleryjskie, prowadzą szeroko zakrojoną działalność terrorystyczną.

Od połowy stycznia do 3 lutego ub. roku, w „pacyfikowaniu” wsi Południowego Wietnamu wzięło udział przeszło osiem i pół tysiąca żołnierzy amerykańskich i satelickich. W rejonie Ba Long i Quang Ngai amerykański agresor, obok bombardowań z powietrza, wprawiał do walki 130 czołgów, 80 helikopterów, duże ilości myśliwców bombardujących, 23 okręty wojenne i wiele kutrów. W każdym miejscu, gdzie się pojawiał — palił i mordował.

W obozie koncentracyjnym Van Thai, na górze Thi An wróg uwieził około 11 tysięcy mieszkańców wsi tej prowincji. W marcu ub. roku 1200 uwieczonych wprowadzono z obozu, załadowano na okręty i zamordowano na pełnym morzu.

W prowincji Quang Nam, gdzie operacje bojowe prowadziło przeszło 100 tysięcy żołnierzy amerykańskich, sajskich i południowokoreańskich, w przeciągu dziesięciu miesięcy ub. roku, spośród 487 osad i wsi, zrównano z ziemią 258. Wiele rejonów objęto terrorystycznym bombardowaniem, rozpylając równocześnie trujące środki chemiczne.

1 marca, po zajęciu wsi Dien Bien (rejon Dien Ban w prowincji Quang Nam), wróg poddał okrutnym torturom czworo dzieci w wieku od 12 do 14 lat, zmuszając je, żeby „powiedziały coś o

Viet Congu”. Wrywano im kawałki ciała, nosy i uszy, i tak zmasakrowane zamordowano.

Od 25 kwietnia do 13 maja ub. r. przeszło dwa tysiące żołnierzy amerykańskich i ich sajskich popleczników dokonało kilku napaści na wieś Bien Duong i Bien Fu, w rejonie Thang Bin. Zamordowali tam 145 ludzi, w tej liczbie wiele dzieci, odrabiano im głowy, rozcinano brzuchy, palono żywcem.

W dniach od 9 do 15 maja ub. r. w wyniku „pacyfikacji” dwóch wsi w prowincji Quang Nam, którą prowadziły 3 bataliony 5 pułku I amerykańskiej dywizji piechoty morskiej, za mordowano przeszło 300 osób, głównie kobiet i dzieci.

W prowincji Quang Tho, w okresie od 1 marca do 20 maja ub. r. wróg dokonał 213 napaści na trzy wioski. Wystrzelono na nie łącznie ponad 200 tysięcy pocisków i zrzucono tysiące ton bomb. Wszystkie domy i ogrody zrównano z ziemią. Zbrodniarze zastrzelili ponad 250 mieszkańców tych wsi, a przeszło 300 zranili. Zgwałcono około 300 kobiet, w tym kobiety stare, brzemienne, a także dziewczęta 13—14 letnie. W prowincji tej aresztowano tysiące cywilnych mieszkańców wsi i bestialsko ich katowano.

Od stycznia do czerwca ub. roku, IX dywizja piechoty amerykańskiej przeprowadziła akcje bojowe w wielu rejonach prowincji Ny Tho i Ben Tri, zabijając przeszło 3 tysiące osób, głównie starców, kobiety i dzieci.

10 sierpnia ub. r. w prowincji Nin Thuan amerykańskie samoloty zaatakowały na otwartym morzu rybaków z wioski Fan Ri. Wszystkie zaatakowane dżonki, w liczbie 30, zatopiono, zginęło ponad 200 rybaków.

Amerykańska gazeta „Balltimore Sun” doniosła 14 czerwca ub. roku, iż „w ostatnich miesiącach porysu 1969 roku IX dywizja piechoty amerykańskiej zabijała przeciętnie po stu Wietnamczyków dziennie, używając do tego celu potężnych formacji lądowych i powietrznych...”

Nowy samolot szpiegowski

„GUARDIAN” — MANCHESTER

Amerykańska kompania „Lockheed Missiles and Space” wyprodukowała na zamówienie Pentagonu nowy typ samolotu szpiegowskiego. Ze słynnym „U-2” nie może się on oczywiście równać, ale ma też wykonywać inne zadania wojskowe. Samolot skonstruowano na zasadach

szybowca, wyposażonego w silnik „U-03-A”, o mocy 210 KM.

Jest on przeznaczony do bezgłośniego przelatywania linii frontu i prowadzenia nocnych operacji wywiadowczych nad terytorium przeciwnika.

Listy do redakcji:

STRZAŁ SAMOBÓJCZY

Wydrukowany w świątecznym numerze „Odgłosów” reportaż Andrzeja Makowieckiego pt. „Strzał samobójczy”, poświęcony sprawie znanego piłkarza, Kazimierza Deyny — wywołał głębokie poruszenie w środowisku kibiców, działaczy i dziennikarzy sportowych.

Polemikę z Makowieckim podjęło Łódzkie Radio i Express Ilustrowany. Express zarzucił Makowieckiemu między innymi brak kompetencji w zakresie poruszanych problemów. W powyższej sytuacji ciekawie przedstawia się list, który przysłał do „Odgłosów” były piłkarz i trener ligowy drużyny ŁKS, Leszek Jezierski, człowiek zapewne wystarczająco kompetentny, aby zabrać głos w dyskusji.

Fala nastrojów antyamerykańskich ogarnęła wszystkie kraje arabskie. „Nienawiść Arabów do Amerykanów jest teraz o wiele większa niż mogłem przypuszczać — powiedział jeden z najbardziej doświadczonych dyplomatów USA na Bliskim Wschodzie. — Nawet silniejsza, niż w czasie wojny arabsko-izraelskiej w roku 1967. Obawiam się, że stosunki amerykańsko-arabskie pogorszą się jeszcze bardziej w ciągu najbliższych lat...”

Opinie amerykańskiego polityka podzielają obserwatorzy dobrze zorientowani w problematyce Bliskiego Wschodu. Antyamerykanizm ogarnął również północną Afrykę, częściowo Algierię i Libię. Uważa się, iż winę za obecny kryzys w Libanie ponoszą Amerykanie.

Powodem ogólnej niechęci do Ameryki jest pomoc USA dla Izraela. Jak utrzymują dyplomaci, ta potężna fala nienawiści była do przewidywania. W ubiegłym roku, kiedy wysłannik prezydenta Nixona, w czasie podróży po krajach Bliskiego Wschodu zapowiedział, iż Stany Zjednoczone zajmą pozycję bardziej proarabską, Arabowie wyrazili zadowolenie, ale dziś, po tym ostrzym optymizmu, nastąpiło głębokie rozczarowanie.

Południowy Jemen jest ostatnim z krajów arabskich, który zerwał stosunki dyplomatyczne z USA i przyłączył się do Egiptu, Syrii, Iraku, Algierii i Sudanu. Powód zawsze ten sam: proizraelska polityka Stanów Zjednoczonych.

Przy Libanie i Jordanii, które jeszcze do niedawna utrzymywały bliskie stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, pozostał już tylko jeden wierny sojusznik — arcyreakcyjny król Arabii Saudyjskiej. Jednakże większość obserwatorów politycznych jest przekonana, iż w najbliższych latach rewolucja zmiecie go z tronu.

Amerykańscy dyplomaci donoszą z Bejrutu, że Arabowie nie chcą się z nimi nawet spotykać. Ambasador USA w Jordanii jeździł po mieście wyłącznie w asyście ochrony. Arabscy partyzanci obojujący w górach Libanu, klną amerykańską politykę, a w Tripolisie, wojownicy nastawieni młodsi Libijczycy zapowiadają: „Kiedy skończymy z Izraelem, rozprawimy się z Ameryką nami”. Nawet w odległej Abu-Dabi słyszy się często: „Tutaj już się nie lubi Amerykanów”.

Przywódcy arabscy są nie

zadowoleni, bo Stany Zjednoczone wywierają zbyt silny nacisk na Izrael, żeby opuścił terytoria arabskie, które zagarnął w wyniku czerwcowej wojny 1967 roku.

Radiostacja partyzantów palestyńskich utrzymuje, że istnieje zмова amerykańskich, mająca na celu zadanie ciosu w plecy rewolucji palestyńskiej.

Antyamerykańska propaganda wzmogła się znacznie w związku z czterema wydarzeniami, które miały miejsce w ostatnim czasie: rozpoczęcie dostaw amerykańskich odrzutowych myśliwców bombardujących typu „Phantom”; wizyta premiera Izraela, Goldy Meir, w Waszyngtonie; oświadczenie departamentu stanu USA w związku z wydarzeniami w Libanie i, wreszcie, oświadczenie rządu USA, iż Amerykanie mogą służyć w wojsku izraelskim, nie tracąc obywatelstwa USA. To ostatnie wydarzenie spowodowało notę protestacyjną Egiptu, skierowaną do Rady Bezpieczeństwa ONZ, a Anwar Sadat, drugi człowiek po Naserze, powiedział: „Stany Zjednoczone są naszym wrogiem numer jeden”.

Sadat podkreślił również, iż w czasie wojny czerwcowej 1967 roku w szeregach armii izraelskiej znajdowało się 8 tys. amerykańskich, brytyjskich i zachodnio-niemieckich ekspertów wojskowych.

Radio kairskie przynajmniej, że na każdego Amerykanina w krajach arabskich patrzy się z podejrzliwością: „Gdzie są gwarancje, że ludzie przybywający do nas z USA nie mają izraelskich paszportów, albo że nie współpracują z izraelskim wywiadem?” Obecnie USA okazują Izraelowi nie tylko pomoc polityczną, ekonomiczną i wojskową, ale w dodatku odstepują mu mięso armatnie.

W Iraku, Syrii, i Libii gazety pisały wręcz: „Amerykanie są przyjaciółmi Izraelczyków”. A przedstawiciel Jordanii oświadczył: „USA oficjalnie potwierdziły swój udział w wojnie po stronie Izraela”.

Gazety bejruckie zamieszczają artykuły pod znamienitymi tytułami: „Sojusz amerykańsko-izraelski”, „Ameryka przyłącza się do wojny z Arabami”...

W związku z tymi wydarzeniami w świecie arabskim, pewien amerykański dyplomata zauważył: „Nie możemy już logicznie wyjaśnić naszej pozycji w konflikcie Bliskowschodnim. Żaden Arab nam nie uwierzy.”

Zawszqd o wszystkim

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z wielkim niedowierzaniem rozpocząłem czytanie Pańskiego artykułu pn. „Strzał samobójczy”, a zakończyłem go przyjemnie zaskoczony.

Forma wywiadu z Deyną — służąca jako pretekst do rozwinięcia myśli o wszystkich przyczynach złego stanu sportu łódzkiego, a w szczególności piłki nożnej — jest znakomita. Artykuł bardzo rzeczowy, z rzeczową i jakże prawdziwą krytyką istniejącego stanu rzeczy.

Od dłuższego już czasu nie udało mi się spotkać w łódzkiej prasie sportowej rozwinięcia tego tematu w sposób tak właśnie podany. A przecież prasa sportowa winna być przede wszystkim do tego predysponowana! A może to właśnie lepiej, może właśnie Pan innymi oczyma patrzy na sprawy rządzące sportem? Miło mi było poznać Pana jako redaktora artykułu sportowego, toteż łączę sportowe pozdrowienia

(—) LESZEK JEZIEŃSKI — TRENER (b. piłkarz ŁKS)

Dni pierwsze

Dalszy ciąg ze str. 1

W wolnych wnioskach ob. Warzyński zwrócił się z apelem do PRN o współpracę ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Żołnierza, które urządził zbórkę podarków dla żołnierzy polskich".

„19. 5. 45. Sprawa Grotnik. Przewodniczący ob. Zarębski po zapoznaniu się ze sprawą na miejscu, stwierdził, że w Grotnikach znajdują się 33 wille poniemieckie, które zostały zajęte bezprawnie przez osoby prywatne dla osobistego użytku lub pod płaszczykiem zrzeszeń robotniczych dla dyrektorów przedsiębiorstw przemysłowych lub kierowników urzędów. Obecny stan faktyczny godzi w interes społeczny. Jako typowy przykład mogą służyć luksusowe wille „Eisenbram” i „George”. Pierwsza zajęta przez radę zakładową dla robotników służy jako miejsce zabaw niedzielnych dla dyrektora. Druga — zajęta przez Zw. Zaw. Prac. Kolejowych dla zastępcy komendanta Ochrony Kolei w Łodzi — zamieniona została na zajazd z wyszynkiem.

W wolnych wnioskach ob. Geraga mówił o wymianie marek niemieckich dla tych, którzy powracają i złotych krakowskich dla przybyłych z G. G.”

„6. 6. 45. Z terenu pow. łeczyckiego ma wyjechać 16 tysięcy ludzi na Zachód. Na Zachód winni jechać ludzie zdecydowani na wszystko, ludzie zdolni pokonać początkowe trudności i nie załamać się”.

SIERADZ

„21. 2. 45. Zebranie zagań Burmistrz, poczem sekretarz odczytał porządek dzienny.

Wniosek ob. Modęskiej w sprawie otwarcia sklepów postanowiono odroczyć z powodu braku cen na artykuły.

Wniosek ob. Jury — sprawa rozpatrzenia kwestii zaarrestowanych, którzy obciążają miasto z powodu ich dożywiania — przekazać Szefowi Bezpieczeństwa. Wniosek ob. Siadalskiej — ustalenie systemu kartkowego — został załatwiony przez Wydział Apropowiacji.

Następnie przystąpiono do rozpatrzenia podań obywateli miasta Siera-

radza i postanowiono:

— przydzielić każdemu zakładowi fryzjerskiemu po jednej poszwie i 5 serwetek,

— podanie ob. Olejniczaka w sprawie zezwolenia na sprzedaż gazet — załatwić pozytywnie,

— podanie ob. Wesołowskiego w sprawie przydzielenia krowy odrzucić, ponieważ przed wojną krowy nie miał,

— Straży Pożarnej postanowiono przydzielić 50 litrów benzyny”.

„26. 2. 45. W sprawie konia Nikińczuka wywiązała się żywa i długa dyskusja. Ob. Jura uważał, że nie jest dobrze oddać konia młodemu Nikińczukowi, gdyż będzie stał bezużytecznie w chwili, gdy konie są tak potrzebne do roli. Nie można go też przyznać ob. Tęsiorowskiemu, ponieważ nie jest jego własnością. Ob. Malinowski jest zdania, że chłopiec, który został bez ojca, może tym koniem zarobkować. Ob. Lorek twierdzi, że koń potrzebny jest do robót miejskich, więc sądzi, że lepiej byłoby oszacować konia i spłacić chłopcu jego wartość. Przeciwno temu zaoponował ob. Malinowski z tego względu, gdyż nie wiadomo, jak oszacować wartość konia, żeby chłopca nie skrzywdzić. Nie można przydzielić konia ob. Tęsiorowskiemu, gdyż wiadomo, ukrywał go i dopiero znaleziono go podczas rewizji.”

„Następnie głos zabrał ob. Sekretarz, prosząc, aby Zarząd Miejski dał ogłoszenie o zaciemnianiu okien a to celem uniknięcia niebezpieczeństwa, na co obecni zgodzili się”.

„3. 3. 45. Sprawa zasypywania okopów, by dać ludziom możliwość przejazdów w pole. W wyniku dyskusji postanowiono zgłosić się do wojennego komendanta miasta, zapytaniem, czy nie ma przeszkód do zawałania tych rowów.

Rozpatrzono sprawę kosztów formularzy do zameldowania. Zarząd Miejski postanowił wydawać druki bezpłatnie, by nie dawać możliwości tłumaczenia, że obowiązki meldunkowe nie zostały dokonane z braku środków na opłacenie druków. By ograniczyć przyływ ludności wiejskiej, gdyż wskutek działań wojennych i zniszczenia nie wystarczy mieszkań dla ludności Sieradza, która powracać będzie z wygnania, Zarząd Miejski postanowił wprowadzić obowiązek uzyskania poświadczenia

na prawo osiedlenia się w Sieradzu”.

„5. 3. 45. Zarząd Miejski załatwił prośby obywateli i postanowił:

Prośbę ob. P. załatwić odmownie, gdyż ZM przyznaje baraki jedynie osobom zbombardowanym wskutek działań wojennych, prośbę ob. A. uwzględnić tylko częściowo: wydać dwa koce; maszyna do szycia wydana być nie może, gdyż Magistrat takowych nie posiada. Prośbę księdza G. uwzględnić częściowo: przydzielić trzy szczotki do zmiatania i 3 podarte koce na ścierki. Prośba ob. M. tak długo załatwiona być nie może — póki nie zostanie podane miejsce, gdzie znajduje się maszyna zabrana przez Niemców”.

„9. 3. 45. ZM w dalszym ciągu rozpatrywał podania obywateli i postanowił:

Podanie siedmiu piekarzy m. Sieradza załatwić przychylnie, każdemu z nich przydzielić po 10 worków z zastrzeżeniem, że należność za te worki będzie uregulowana po ustaleniu ceny. Podanie Józefy S. w sprawie zwrotu krowy załatwić przychylnie i krowę znajdującą się u Józefa Z. wydać właścicielce”.

„17. 3. 45. Zapotrzebowanie Urzędu Skarbowego w Sieradzu uwzględnić częściowo: przyznać dwie szczotki do zmiatania, jeden koc podarty, który może być wzięty na ścierki, zapalek nie przydzielać, gdyż Magistrat takowych nie posiada. Szczotek do szorowania jak również śmieciarek jak również płótna białoczerwonego na flagi magistrat nie posiada.

Prośbę ob. Walerii S. w sprawie wydania jej zezwolenia na prawo zamieszkania w Sieradzu — załatwić odmownie z braku wolnych mieszkań. Kierownikowi apteki po Pawłowski ob. Karanowiczowi Romanowi zezwolić na zamieszkanie na terenie miasta Sieradza oraz przydzielić mu odpowiednie mieszkanie z umeblowaniem. Prośbę ob. Rojka Mariana o przydzielenie laubzgi i krajezi z motorkiem uwzględnić z tym, że powyższe maszyny przydziela się tylko do używania i na każde żądanie będą zwrócone”.

„22. 3. 45. Sprawa telefonów. Urzędem i instytucjom zezwolenia na założenie telefonów będzie wydawał sam Burmistrz. Osoby prywatne muszą uzyskać zgodę MRN po uprzednim wysłuchaniu opinii Władz Bezpieczeństwa”.

„24. 3. 45. Przydzielić z ogrodu miejskiego po Niemcu Krużyńskim ob. A. Knapowej 10 kg czosnku celem rozsprzedaży mieszkańcom miasta. Należność w kwocie 40 zł. ob. Knapowa ureguje po sprzedaniu tegoż”.

„30. 3. 45. Oświadczenie inż. Szyski, przedstawiciela „Zempolu” w sprawie tutejszej elektrowni uznać za głosowne, nie oparte na prze-

pisach prawnych. Elektrownię wraz z wszelkimi urządzeniami uważać dalej jako własność miasta”.

„6. 4. 45. Z uwagi na zbliżający się okres letni postanowiono ograniczyć czynność laźni do dwóch dni w tygodniu. Ceny ustalono następująco: wanna — 5 zł.; prysznic oddzielny — 3 zł.; prysznic ogólny — 1 zł. Czas kąpiel ograniczyć do 20 minut”.

„4. 5. 45. ...funkcję nakręcania zegara na wieży kościelnej powierzyć ob. Piotrowi Podsiademu z wynagrodzeniem 50 zł. miesięcznie”.

„11. 5. 45. Akceptowano do wypłaty rachunek W. Marszela, tapicera i dekoratora na sumę 250 zł. za dekorację budynku Zarządu Miejskiego i trybun w dniu 1 i 3 maja”.

„13. 6. 45. Przyjęto do wiadomości dochodzenie MO w sprawie kradzieży wapna i postanowiono od każdego winowajcy ściągnąć opłatę po 15 zł. wiadro”.

„1. 7. 45. Burmistrz i sekretarz zdali sprawozdanie z wyjazdu do Łodzi, gdzie czynili starania o skóry, wyroby tekstylne i przydział tychże dla pracowników ZM. W Łodzi — skierowano ich do Ministerstwa Apropowiacji w Warszawie. Podróż do Warszawy jest jednak zbyt nuzająca i kosztowna oraz zabiera zbyt dużo czasu”.

„23. 8. 45. Sprawa rachunków za drzewo dla rezerwistek. Ponieważ drzewo przyznane rezerwistkom po cenach niższych — 90 zł. za metr — zostało rozdzielone — Zarząd Miejski postanowił potrącić za nie z wypłacanych zasiłków, a w razie powrotu męża przelać mu rachunek”.

„14. 12. 45. Obecni wypowiedzieli się za utrzymaniem dawnego zwyczaju i ustawieniem choinki na rynku”.

K. B.



Zanim stał się dzień wolności

Dalszy ciąg ze str. 1

Łodzi. Skorzystali z tej szansy, ale w ostatnim momencie spalili 2 tys. więźniów Radogoszcza.

KIEDY WŁADZA LEŻAŁA NA ULICY

W drugim domu za szpitalem w Kochanówce mieszkał z rodziną Antoni Winczewski. Wieczorem 18 stycznia 1945 roku siedł na dyżur do szpitala. Zatrzymali go Niemcy i postawili pod ścianą.

— Gdzie idziesz?
— Do pracy.
— Pokaż papiery!

Pokazał zaświadczenie ze szpitala i to go uratowało. Rano spotkał radziecki patrol. Zabrał ich do siebie, gdzie byli już inni członkowie komórki PPR: Helena Mileczkowska i Kazimierz Ziółkowski. Żołnierze umyli się i zjedli śniadanie. Odchodząc żołnierze dali Winczewskiemu 12 rubli. Na pamiątkę! Pożegnano ich wspólnie odśpiewaną „Miedzynarodówką”. Zostawili dwie pepesze.

— Doczekaliśmy się — powiedziała Helena Mileczkowska — ale nie tylko cieszyć się nam wpada. Władza leży na ulicy i my

musimy ją podjąć. Stworzymy milicję. Musimy pilnować porządku i wspólnego dobra.

Zajęto opuszczony lokal żandarmerii i stworzono posterunek milicji. Jego komendantem został Kazimierz Ziółkowski. Henryk Winczewski — najstarszy syn Antoniego — dostał pepesze i razem z innymi chodził patrolować tę część miasta.

Podobny posterunek milicji powstał przy ul. Limanowskiego 90. Jego komendantem został Mieczysław Pawlak — członek RPPS. We wszystkich częściach miasta członkowie RPPS od kilku dni patrolowali ulice, notowali ruch wojska niemieckiego, patrzyli, gdzie Niemcy zakładają miny, gdzie okopują się. Pawlak wskazał radzieckim żołnierzom okopany oddział Wehrmachtu w lasku Heizlera na rogu ul. Pojezderskiej i Hipotecznej. Franciszek Lewy i Antoni Szczopa naprowadzili żołnierzy radzieckich na oddziały Wehrmachtu stacjonujące w gmachu Ubezpieczalni przy ul. Lecznicy i w szkole na rogu ul. Tuszyńskiej i Strycharskiej. Franciszek Szejner zauważył, że Niemcy zaminowali magazyny materiałów pędnych na Chojnach i wiadomość tę przekazał natychmiast radzieckiemu oddziałowi. Bronisław Jasiński brał udział w wykolejeniu pociągów pod Smardzewem i Chelmami.

Stefan Kucharski pracował w fabryce I. K. Poznańskiego. Razem z Zygrydem Barbarskim, Władysławem Oczkowskim, Mieczysławem Sułkowskim i Feliksem Borzyńskim tworzył kierownictwo grup dywersyjnych. Kiedy ruszyła styczniowa ofensywa wezwał ich Kucharski do siebie i rozkazał:

— Koniec sabotażu. Teraz to będzie już nasze, musimy więc nie niszczyć, a ratować.

W nocy przyszl Niemcy po Feliksa Borzyńskiego, kazali ubierać się i zabrali do fabryki. Zwołali ludzi i kazali przynieść

uprzednio przygotowane skrzynie i rozbić turbinę. Dowiedział się o tym Mieczysław Sułkowski, pobiegł do Szejnera.

— Co robisz? Niemcy demontują turbinę. Unieruchomij fabrykę!

— Nie — powiedział Szejner po namyśle — rozbić turbinę, ale do skrzyń pakować... złom. Leży tego pełno wszędzie.

— Co robisz z turbiną? — nie rozumiał Sułkowski.

— Turbinę chować do kanałów. Leć i przekaż to Borzyńskiemu.

Szejner z Ignacym Klimorowskim unieruchomili jeszcze 6 samochodów załadowanych wszelkim fabrycznym dobrem. Niemcom udało się zabrać tylko dwa samochody dobytku.

I NASTAŁ DZIEŃ PIERWSZY

„Idziemy szykiem wojskowym ul. Rzgowską, Czerwonym Rynkiem, Piotrkowską — wspomina Kazimierz Przybył-Stalski, sekretarz Piotrkowsko-Częstochowskiego Okręgu PPR, który przybył do Łodzi z oddziałem partyzantów. — Na jezdniach zdemolowane tramwaje i rozbite samochody, na trotuarach nie uprzątnięte skrzynie i porzucony sprzęt wojskowy. Zerwane prze wody trakcji tramwajowej zwisały nisko tuż przy ziemi, grożąc porażeniem prądem. Futryny okien w fabryce Geyera powylamywane, szyby stłuczone. Wszystkie sklepy na ul. Piotrkowskiej pozamykane, a witryny wybite. Po urzędach administracji niemieckiej pozostały tylko zdemolowane pomieszczenia i połamany sprzęt biurowy. Szklidy tych instytucji leżały na ziemi, przedchodnie deptali je z pogardą”.

Ludzie płakali z radości, niszczyli z furją co niemieckie, łapali niemieckich dywersantów, poprzebieranych żandarmów i gestapowców. Nie wszyscy jednak radość wyrażali pasją niszczenia. Wielu przystąpiło do trudnego dzieła zaprowadzania porządku, zachowania tego, co powinno służyć wszystkim.

Łódzką organizacją „Szarych Szeregów” kierowali: Mieczysław Łętowski, Antoni Pachnicki, Dominik Patura, Jan Perka i Pawliczak. Działali oni według programu „Dziś, jutro i pojutrze”. „Dziś” — to był mały sabotaż w czasie okupacji, „jutro” — to było przygotowanie młodzieży do ewentualnego udziału w walce z okupantem, a „pojutrze” — było przygotowaniem do udziału w odbudowie władzy.

Na wieść o postępach ofensywy zebrano instruktorów harcercskich i skrzyknięto młodzież. Starsi poszli do ochrony kolei i milicji. Skierowano młodzież do pomocy w wyszukiwaniu lokali dla olbrzymiej masy ludzi, która zaraz za wojskiem zaczęła napływać do Łodzi. Rozstawiono warty przy magazynach, składach i niektórych urzędach. Młodzież organizowała służbę samarytańską, śpieszyła z pomocą uchodźcom i wojennym wędrowcom. Robiła to chętnie i z zapalem. Nie wszyscy wprawdzie orientowali się w charakterze powstającej władzy, ale byli to dni wielkiego patriotyzmu, dni, które pozwalały znów czuć się Polakiem i być z tego dumnym.

* * *

Dobiegał końca pierwszy dzień wolności. Z balkonów i okien powiewały białoczerwone i czerwone flagi. Nadchodziły dni odbudowy i ciężkiej pracy dla siebie. W mieście na 780 zakładów produkcyjnych 390 było całkowicie lub częściowo zniszczonych. W 191 zniszczone były budynki, w 242 — maszyny i urządzenia. Pracowała jednak elektrownia, telefony, telegraf, szybko przywrócono ruch tramwajom, uporządkowano ulice. W Grand Hotelu ludzie, którzy przyszl tu budować nową władzę, z nadzwyczajnym zadowoleniem brali ciepłą kąpiel, aby jutro z większym zapasem sił przystąpić do dalszej pracy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

Decybele w ofensywie

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Zaczyna się około czwartej nad ranem. Do sklepu spożywczego na parterze przywożą mleko. Hukają bańki rzucane na chodnik, dzwonią butelki w druczanych stojakach, trzaskają drzwi samochodu, słychać pokrzykiwania dziarskich rozwoźcików, reprezentujących zapewne poglądy: nie śpij ja, niech nie śpią i inni. Wkrótce potem roznościcielka mleka, w stroju kapitalistycznym zwana mleczarka, rozpoczyna swoją działalność. Winda z hukiem (bo głośna) jedzie na dół, potem drzwi trzaskają ile sił w barkach roznościcielki, potem winda jedzie na górę. Na piątym piętrze zatrzymuje się, huk zatraskiwanych drzwi. Winda zjeżdża na czwarte. Huk zatraskiwanych drzwi. Winda jedzie na trzecie... I, tak aż do parteru. Wreszcie koniec koszar. Snu również. Bo oto już zaczyna się wielkomiejski dzień. Tramwaje dzwonią, bezlitośnie zgrzytają po nie naoliwionych zwrótnicach, wyruszają na miasto samochody, motocykle o głośności odrzutowców, traktory wcale nie cisze, rozpoczyna pożyteczną działalność stacja autobusowa PKS, której megafony (gigantofony?) meldują, budząc całą dzielnicę, o przyjeździe, odjeździe, spóźnieniach i odwołaniach kursów autobusowych.

Tak mógłby się zaczynać pamiętnik, czy raczej dziennik mieszkańca jakiejś jednej dzielnicy, gdyby chciał to mu się pisać co dzień to samo. Gdyby zebrać takie dzienniki z różnych dzielnic, różnych domów, zniknęłyby momonta. Działalność i asortyment decybeli są bowiem dalekie od schematu. Tu hucają wentylatory, tam hydrofony, tu pralnia mechaniczna, ówdzie restauracja z dancinżem i radiofonizowaną orkiestrą. Tylko przy pomocy setek mieszkańców miasta można by skompletować pełny wykaz szatańskich pomysłów zakłócających codzienny spokój. O rozległej działalności sąsiedzkiej daleko, bo to oddzielne zagadnienie.

40 DECYBELI? MARZENIE!

Rozwój cywilizacji, mechanizacja życia, wzrost liczby urządzeń mechanicznych, mających służyć ułatwieniu naszego życia — jest koniecznością jeśli kraj ma się rozwijać, iść z postępem. Niestety, postęp ten jest u nas bardzo głośny. Piszę u

nas, bo w krajach wysoko rozwiniętych przemysłowo, gdzie mechanizacja jest znacznie dalej posunięta, urządzenia mechaniczne pracują cicho, prawie bezszelestnie.

„Spokój, cisza i odpoczynek” mówią lekarze nerwicowcom, których jest coraz więcej. Ba, ale skąd to wszystko wziąć? Życie skupia się na coraz mniejszych przestrzeniach, w osiedlach, blokach, wieżowcach, w małym metrażu, obcy ludzie są od siebie oddzieleni cienkimi, akustycznymi ścianami. Intymność życia rodzinnego, osobistego staje się coraz bardziej problematyczna, skoro każde głośne wypowiedziane słowo rejestrowane jest przez sąsiadów, skoro wiemy nawet co nasi sąsiedzi gotują na obiad, bo nie tylko słowa, ale i zapachy przenikają przez ściany.

Jakie przepisy prawne chronią spokój obywatela? Praktycznie żadne. Istnieje polska norma budowlana, ustalona przez Polski Komitet Normalizacyjny. Nakazuje ona takie budowanie mieszkań, by wszelkie hałasy przenikające do wnętrza nie wynosiły w nim więcej niż 40 decybeli w ciągu dnia, a 25 decybeli w nocy. Jest nawet instytucja, skoro nująca takich pomiarów. Dział higieny komunalnej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej, ma prośbę poszczególnych instytucji miejskich, a także na prośbę obywateli, dokonuje pomiarów w mieszkaniach. I co się okazuje? Głośno pracujące windy (a takich zapewne w nowym budownictwie jest większość) dają przy zatrzymywaniu się hałas w mieszkaniach o sile 56 decybeli. A więc już powód do interwencji, której zasadność Państwowy Zakład Higieny widzi w wypadku gdy hałas przekracza 40 decybeli.

Nie jest rzeczą normalną, by mieszkania były tak akustyczne jak ma to miejsce w większości naszego nowego budownictwa. Nie czują się na siłach dojsć kto ponosi za to winę — projektanci, czy wykonawcy, zapewne po trochu jedni i drudzy, po trochu szybkie tempo naszego budownictwa i związane z tym koszty. Ale przecież przynajmniej tam, gdzie buduje się lokale gastronomiczne, pralnie itd. należy stosować materiały wyciszające, instalować chłochobielne wentylatory, lodówki, lady chłodnicze. Prace te i tak trzeba przeprowadzać później, na interwencję lokatorów (choćby przykład „Agawy”, „Ireny”, czy „Europejskiej”),

a to zapewne kosztuje znacznie drożej.

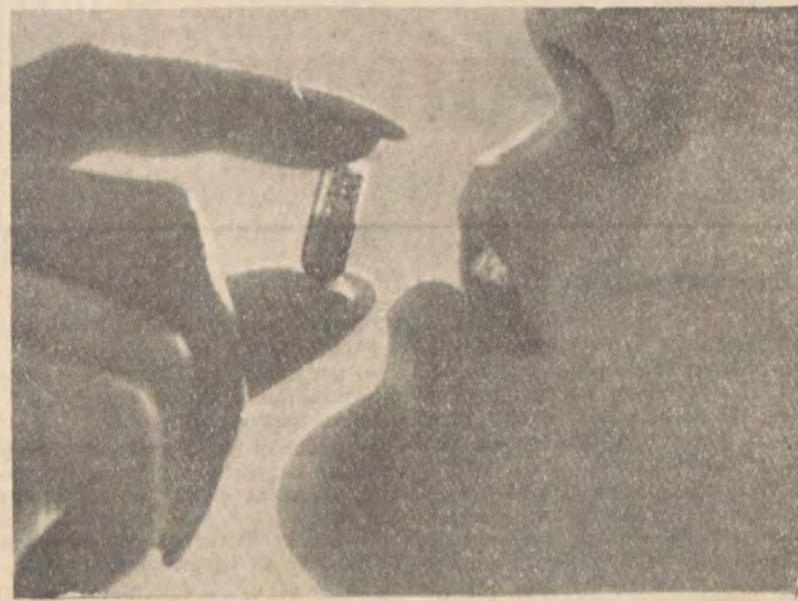
Sprawa spokoju, wypoczynku domowego (a jest to przecież tak samo sprawa wydajnej pracy, inaczej wykonywanej przez człowieka wypoczętego i spokojnego, inaczej przez niewyspanego, zdenerwowanego) stała się przedmiotem obrad Prezydium Rady Narodowej. W czerwcu ubiegłego roku Prezydium wydało uchwałę, zobowiązującą wszystkie zainteresowane instytucje od pracowni urbanistycznych poprzez gospodarkę komunalną i mieszkaniową, handel, gastronomię, do szczególnej troski o cichą, nie zakłócającą spokoju miasta pracę wszelkich zakładów i urzędzeń mechanicznych. Wiele tych spraw da się załatwić od zaraz, wiele jest sprawą przyszłości.

Wydział higieny komunalnej Stacji San.-Epid. przeprowadza każdego roku setki pomiarów, za którymi idą wskazania i wytyczne. Interesujący jest przekrój tych spraw. W 1968 r. większość interwencji skierowanych do Stacji dotyczyła (poza skargami na zakłady przemysłowe) urzędzeń mechanicznych w nowym budownictwie. W ubiegłym roku liczba interwencji tego typu zmniejszyła się znacznie. Oznacza to poważniejsze traktowanie tych spraw przez administrację domów, handel i gastronomię. Rzecz charakterystyczna — w wielu przypadkach wystarczyła odpowiednia instalacja agregatów, odsunięcie ich od ściany, czy podłożenie materiałów izolacyjnych, by przestały być one zmartwieniem dla lokatorów. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby nasz przemysł zaczął produkować wszelkiego rodzaju silniki z tłumikami, rozwiązałyby to wszelkie problemy raz na zawsze, w konkretnie jednak istniejącej sytuacji wiele zależy od konserwacji. Nasze blokowe windy są takie głośne, bo są źle konserwowane, zbyt rzadko mechanizmy są smarowane, drzwiami trzeba trząskać z całej siły, bo zamki za rzadko otrzymują odrobinę smaru. A tej właściwej konserwacji mamy prawo się domagać. Uchwała Prezydium RN m. Łodzi, o której wspominałem wyżej porusza jeszcze jedną, niezmiernie ważną sprawę: wychowania społeczeństwa.

RZUC PAN TEN DRUGI BUT!

Bardzo to ważna sprawa, bowiem z wszystkich zakłócających spokój urządzeń najgłośniejszym może być sąsiad. Najgroźniejszą jego bronią jest telewizor, radio czy adapter. Użytkowane ze słowiańską otwartością i serdecznością: czym chata bogata. Na cały regulator — słucham ja, niech słuchają i inni, nie będę żałował. Ale sąsiad ma bronie wiele: dziecko grające na instrumencie, zwyczaj szorowania podłogi w nocy, skrzypiące, ciężkie buty, w których chodzi do północy, gwizdzące krany — Bóg wie co jeszcze. Jeszcze imieniny, urodziny, ślub, zabawa sylwestrowa — z kapelą, przytupem, chóralnymi śpiewami, pijskimi wrzaskami.

Przed sąsiadem praktycznie nie ma żadnej ochrony. Istnieje wprowadzenie regulaminu porządku domowe-



go, określony uchwałą Prezydium Rady Narodowej 107/1171/67, który zobowiązuje do przestrzegania ciszy nocnej w godzinach od 22 do 6, zezwala na trzepanie pościeli, dywanów itp. w godzinach: 7—11 i 16—20, przewiduje nawet ograniczenie działalności wind jeśli zakłócają one spokój — ale kto tego przestrzega! Wolność Tomku w swoim domku, a komu się to nie podoba, jest chyba nienormalny.

A przecież każdy człowiek, każda rodzina ma swój rytm życia uwarunkowany charakterem pracy, a także zespołem cech psychofizycznych. Ktoś pracuje rano, ktoś inny na trzy zmiany i po mocnej pracy chce odpocząć w dzień, różna jest też ludzka wrażliwość. Jeden może spać gdy strzelają armaty, drugi budzi skrzypienie podłogi u sąsiada. Przypomina mi się tu stary dowcip hotelowy. Pewien gość powrócił do hotelu bardzo późno. Rozbierając się rzucił but na podłogę, ale zreflektował się i drugi ustawił już cicho na

dywaniku. Po kilku minutach usłyszał walenie w ścianę i zdenerwowany głos: panie, zdejmij pan ten drugi but, bo ja chcę spać!

Kultura współżycia sąsiedzkiego, szacunek dla spokoju, zwyczajów ludzi, od których oddziela nas, a może raczej z którymi łączymy nas wspólnota ściana jest jedyną drogą dla uwolnienia ludzi od domowych hałasów. Ktoś może być chory, gdy ktoś inny chce tańczyć, ktoś może mieć żalobę, gdy ktoś inny weseli. Nie zmuszajmy bliźnich, by współuczestniczyli w naszym życiu, ani to nam ani im potrzebne.

Kiedy jednak nie ma dobrej woli, kiedy jest zła wola, muszą wkroczyć przepisy, sprawy współżycia sąsiedzkiego muszą być unormowane prawnie tak, by prawo stało przeciw aspołecznym wyrykom, złośliwości i lekceważeniu przepisów. Ludzki spokój szanować trzeba przez całą dobę, nie tylko od godziny 22 do 6 rano.

Rozstrzygnięcie konkursu literackiego

Zorganizowany przez Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Związek Literatów Polskich w Łodzi oraz Wydawnictwo Łódzkie otwarty konkurs literacki na powieść o tematyce Ziemi Łódzkiej został rozstrzygnięty dnia 20 grudnia 1969 roku. Jury w składzie: J. M. Gisges (przewodniczący), Adam Fudala, Tadeusz Chróścielewski, Tadeusz Jaskuła, Jan Koprowski, Roman Łoboda, Edward Siekowski, Jolanta Sulej, Wojciech Szafański postanowiło nie przyznawać pierwszej nagrody. Dwie drugie nagrody przyznano: Ryszardowi Binkowskiemu za powieść pt. „Sypała brzezina złotem, czerwienią” oraz Edwardowi Górze za powieść pt. „Po deszczu zieleni”. Trzecią nagrodę otrzymała Danuta Biełkowska za powieść pt. „Piękna nieznajoma”. Następnie przyznano cztery wyróżnienia za powieści: Jerzemu Jesionowskiemu — „Powrót pożegnanym”, Eugeniuszowi Iwanickiemu — „Opowieść o wrastaniu”, Edwardowi Kocyńskiemu — „Intruz” i Mieczysławowi Olbromskiemu „Kaskader”.

Przeszłość i teraźniejszość

Bitwa o tajemnice

„Dawne państwo polskie na skutek własnej winy(!) utraciło niepodległość i zostało podzielone przez mocarstwa ościenne” — pisał w 1931 roku pan Emanuel Ginschel. — „Polska była odwiecznym politycznym zarzewiem i Europa żyła ustawicznie pod groźbą pójścia z dymem z powodu Polski. Toteż podzielono ją i odebrano prawy państwa. Nigdy jednak naród polski nie zapomniał faktu, że Polska była niegdyś wielkim państwem i wszystkie kierunki nieżywej polskiej bańki to w Rosji, bądź też w cesarstwie niemieckim czy austriackim dążyły wszelkimi środkami do odbudowania niepodległej Polski. Celu tego nie można było osiągnąć bez stosowania takich środków, jak z jednej strony mylenie tak zwanych (sic!) państw zaborczych co do swych prawdziwych zamiarów, z drugiej zaś — zdobywanie bieżących wiadomości o ich planach i sytuacji politycznej, jeśli tylko miały one

jakieś znaczenie dla sprawy odbudowy Polski”.

Prezesowi „Deutscher Ostbund” Ginschlowi który nie bez racji podkreślił tu sprzeczność pomiędzy dążeniami niepodległościowymi Polaków a interesami państw zaborczych, nie chodziło jednak o dywagacje natury historycznej, gdy pisał swój artykuł do zbiorowego wydawnictwa pt. „Szpiegostwo w wojnie światowej”, opublikowanego w 1931 roku. Prezesował on nie „jakiejś tam historycznej asocjacji, lecz organizacji solidnej, założonej jeszcze dla celów plebiscytowych w 1919 roku i mającej za zadanie popieranie niemieckiej na Wschodzie. Skupiała ona wszystkie organizacje tzw. uciekinierów, owe poprzedniczki dzisiejszych zachodniemieckich ziomkostw. Zainteresowania prezesa Ginschla sprawami wywiadu i dywersji także nie były tylko historyczne, a jego elaborat opatrzone wymownym tytułem „Zwalczanie polskiego szpie-

gostwa i propagandy” miał na celu sianie psychozy apokaliptycznego niemal i rzekomo odwiecznego zagrożenia Rzeczy Niemieckiej przez polski wywiad i dywersję.

Wokół służb wywiadowczych Polski i Niemiec w okresie międzywojennym narosło niezmiernie wiele legend i plotek, nie mających potwierdzenia w materiale rzeczowym. Składają się one na popularny wciąż w pewnych kręgach mit o rzekomo kolosalnych sukcesach wywiadu niemieckiego w Polsce i bezradności polskiej służby wywiadowczej w walce z tym jakże groźnym przeciwnikiem. Mit ten, który rego politycznych implikacji chyba już wyjaśniać nie trzeba, rozwija w skutecznie Władysław Kozaczuk w swej znakomitej i pasjonującej wręcz książce pt. „Bitwa o tajemnice. Służby wywiadowcze Polski i Rzeczy Niemieckiej 1922—1939”, której drugie wydanie ukazało się właśnie na półkach księgarskich. Wartość tej książki podnosi wyzyskanie przez autora nie tylko obszernie wielojęzycznej literatury przedmiotu, lecz przede wszystkim zachowanych akt Oddziału II Sztabu Głównego oraz odpowiednich archiwaliów niemieckich. Jest to więc pierwsza polska publikacja, omawiająca te tak istotne problemy w oparciu o wiarygodne źródła z pierwszej ręki.

Autor obalił w swej pracy niejedną popularną mit. Głębsze wej-

wienie w strukturę organów wywiadowczych Polski, Niemiec, a dla porównania także innych krajów, pozwoliło mu na udokumentowane zaprzeczenie powtarzanych często i umacnianemu przez sensacyjną literaturę przekonaniu o rzekomym „autonomizmie organizacji wywiadowczych, ich wszechobejmującym wpływie na życie polityczne państw i narodów, o zakulisowych machinacjach jako niemalże jedynej rzeczywistości politycznej, przeciwstawianej jawnym deklaracjom rządów i ich oficjalnych agencji”. W rzeczywistości sprawa kształtowała się zgoła odmiennie i organa wywiadowcze za równo w Polsce w okresie międzywojennym, jak w innych krajach „były mocno trzymane przez kierownictwo koła rządzące, a ich rola w aparacie państwowym — funkcjonalna i pomocnicza”.

Wiąże się to najściślej z klasowymi funkcjami aparatu wywiadowczego w państwie burżuazyjnym. W. Kozaczuk nie ukrywa do brze znanych negatywnych stron tych klasowych funkcji Oddziału II „na rzecz utrzymania status quo burżuazyjnego państwa”, ale w oparciu o obszerną dokumentację potrafił wykazać jakże wiele pozytywnych aspektów jego aktywności w walce z obcym wywiadem i dywersją, walce prowadzonej dla ochrony państwa — tej Rzeczypospolitej wprowadzonej klasowej, lecz przecież

i polskiej — by strawestować powiedzenie Bogusława Leśniodorskiego — jaką było nasze przedwojenne państwo, w interesach nie tylko ówczesnej elity rządzącej ale całego narodu i społeczeństwa. To ostatnie chciałoby się tu podkreślić szczególnie mocno: walka z wywiadem i dywersją niemiecką była w ówczesnych — i nie tylko ówczesnych warunkach — ochroną interesów całego narodu polskiego i innych narodów, zamieszkujących w granicach przedwojennej wielonarodowościowej Rzeczypospolitej.

W. Kozaczuk zwrócił baczną uwagę na doniosłość wagi sprawy obiektywnych, wynikających z materialności społecznej uprzedzeń w stosunku do polskich organów wywiadowczych w omawianym okresie. Jak wiadomo wszystko, co do zakończenia I Wojny Światowej było na naszych ziemiach wywiadem, było wywiadem obcym, zwracającym się przeciwko polskiemu interesom narodowym. „Carska ochrana”, pruska tajna policja i austriackie Kundschaftstellen, tropiąc wzajemnie nasyłanych szpiegów, były wyjątkowo zgodne, jeśli szło o akcje przeciwko siłom polskiej rewolucji społecznej i niepodległościowej — podkreśla autor. Te właśnie okoliczności tłumaczą w znacznym stopniu sytuację, jaka powstała z chwilą odrodzenia się naszej państwowości.

JÓZEF GRZELAK

KONRAD FREJDLICH: Wita-
jąc Panów na naszym spot-
kaniu poświęconym pro-
blematyce pracy w literaturze
współczesnej, pragnę przypom-
nieć, że temat ten, choć wciąż
dyskusyjny, wcale nie jest
nowy. Nie tylko dlatego, że anga-
żował talent pisarzy i najwybitniej-
sze umysły naszej krytyki, na po-
parcie czego dość wskazać przykład
Stanisława Brzozowskiego czy Ka-
rola Irzykowskiego. Przecież w naj-
nowszych, powojennych czasach
mamy do czynienia z renesansem
dyskusji o tych sprawach. Nie za-
wsze dała ona najlepsze owoce, jak
nas poucza doświadczenie okresu
socrealizmu, ale to nie daje nam
prawa odwracania się od ludzkiego
wysiłku. Myślę, że spory na ten te-
mat trzeba zacząć zupełnie od no-
wa. Więcej zresztą chyba powinni-
śmy się tutaj wzajemnie siebie py-
tać niż stwierdzać. Stawiam więc
pytanie dlaczego w powojennej li-
teraturze polskiej temat pracy ludz-
kiej znalazł tak nikiel, albo też zu-
pełnie fałszywe odbicie? Spróbuj-
cie też dać odpowiedź w nadziei, że
Panowie skorygują ją i uzupełnią.
Otóż wydaje mi się, że błądem jest
kiedy się usiłuje zrobić z pracy te-
mat zasadniczy i jedyny. Myślę bo-
wiem, że praca nie da się oderwać
od wszelkich działań ludzkich, któ-
re zmierzają do przebudowy świa-
ta. Nie jest ona przecież celem sa-
mym w sobie, jest środkiem wio-
dącym do określonych celów. Jeśli
więc literatura ma podejmować ta-
ki temat jak praca, to po to, aby
lepiej poznać i określić człowieka.
Musimy więc mówić o tych celach
nie gubiąc po drodze człowieka.
Zresztą w samym pojęciu pracy,
kryje się tyle ambiwalentnych tre-
ści, że warto by zacząć od ustaleń,
choć jak powiedziałem — łatwiej
nam tu będzie pytać niż stwierdzać.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ:
To prawda, że kwestia jest otwar-
ta. Pozwolę więc sobie spojrzeć na
nią z perspektywy historyczno-lite-
rackiej, bo to odwołanie do przesz-
łości może okazać się potrzebne.
Otóż w literaturze polskiej intere-
sującą nas temat ma ogromną tra-
dycję. Przecież pierwsza nasza po-
wieść, z w. XVIII, przedstawia Do-
świadczyńskiego na utopijnej wys-
pie Nipu, gdzie wszyscy zajmują się
pracą. Podejmuję ją więc, choć szlach-
cie, także bohater Krasickiego, od-
zyskując zdrowie i radość życia. O-
czywiście, że ujęcie to naiwne, ale
jak się okazuje szlaki wcześniej zo-
stały przez pisarzy przetarte. Może
właśnie dlatego próby naszych pro-
zaków z przełomu wieku XIX i
XX wolne są już od tych naiwno-
ści. Z problematyką pracy spotka-
my się przecież w tak znakomitych
książkach, jak „Ludzie bezdomni”
Zeromskiego czy „Chłopi” Reymon-
ta. Podejmuję ten temat także Be-
rent w „Fachowcu”. Ich próby po-
wiodły się w takim stopniu, w ja-
kim potrafił powiązać zagadnienie
pracy ludzkiej z indywidualnym
przeżyciem bohaterów. Warto tu
przytoczyć jeszcze przykład powie-
ści Józefa Gardeckiego pt. „Było
nas trzech” i Marii Dąbrowskiej,
która w „Nocach i dniach” pokaza-
ła Bogumiła pracującego z takim
zapalem na cudzych folwarkach, jak
by od tego zależało zbawienie świa-
ta. Ale w ówczesnych warunkach
praca ta stanowiła jakieś contra-
dictio in adiecto (sprzeczność mię-
dzy terminem określanym a okre-
ślającym, błąd logiczny — przyp.
red.), bo pobudkami wysiłku były
potrzeby elementarne; obawa przed
głodem, przed bezrobociem. Ideali-
zowanie pracy w ówczesnych wa-
runkach, a były takie próby, wy-
glądało na urągawisko. Słusznie
więc pisarze wyculeni na krzywdę
społeczną, jak chociażby Gojawic-
zyńska, odsłaniali tragizm wysiłku
pozbawionego radości i satysfakcji,
pokazywali, jak ta nieznośna sytu-
acja rzutuje na losy człowieka.

Z doświadczeń tych w niewielkim
tylko stopniu skorzystała literatura
pierwszych powojennych lat. Pisa-
rze jakby zapomnieli, że praca jest
przeżyciem, czasem radosnym, czę-
sto gorzkim, ale nie pustym ha-
słem. W powieściach produkcyj-
nych typu socrealistycznego sły-
szymy nieustannie zawołania do wzmo-
żenia wydajności, przekraczania
norm. Było to robione w dobrej
wierze, miało pomóc w budowaniu
zrębów nowej rzeczywistości, ale
przecież socjalizm to człowiek i je-
go sprawy. Tymczasem w literatu-
rze tamtego okresu motyw pracy
został oderwany od człowieka i stał
się ahumanistyczny. Opis pracy
sprowadzono do ukazywania prze-
biegu procesu technologicznego, zaś
treści pracy do wulgarnego, plakato-
wej agitki. Stanowczo za mało mó-
wi się dzisiaj o najjaskrawszym
przykładzie tej schorzałej literatu-
ry, o powieści Mirosława Kowalew-
skiego pt. „Kampania znaczy wal-

ka”. Sprowadził on robotnika do
rol roboty, który nie zna co to
przyjaźń, miłość, rozrywka, tylko
bez przerwy pracuje, aby osiągnąć
normę.

A przecież, choć nie jest to spra-
wą łatwą, motyw pracy może i po-
winiem znajdować swoje odbicie w
literaturze. I gdyby mogli jak bo-
hater powieści „Kulawy diabeł”
zdejmować dachy i zaglądać do
mieszkań podglądając życie prywat-
nych ludzi, to bym to uczynił.
Choćby po to, aby potwierdzić
swoją obserwację, że w naszych
warunkach ustrojowych praca nie-
jednokrotnie jest przedłużeniem li-
nii życia osobistego, że jej wzboga-
ca o treści głębokie i prawdziwie
ludzkie. Zobaczyłbym może jak po
całodziennym wysiłku w fabryce
lub biurze ludzie chodzą do szkół
wieczorowych, żeby wzbogacić
swoją wiedzę, udoskonalic swój
fach. Przekonałbym się z jakimi
trudnościami muszą walczyć. Uj-
rzyłbym może jak im to utrudnia
jakis niemądry kierownik czy maj-
ster, mimo wszelkich ułatwień ja-
kie swoją polityką oświatową stwa-

do zapładniająca, ale tak to już
jest, że życie okazuje się bogatsze
od teorii. Trzeba bowiem pamiętać
o sile kreatywnej, która łączy pisa-
rzy i aktorów, o umiejętności wle-
ciać się w cudze życie. Sam Czer-
nik zresztą stworzył wiele przekon-
nyjących, choć fikcyjnych, po-
staci na kartach swych książek. Są
pisarze obdarzeni zdolnościami kre-
acyjnymi, są też tacy, którzy ope-
rują tylko osobistym doświadcze-
niem jak choćby Gomolicki. Zre-
zygnował on przecież z kariery pro-
fesorstwa, aby, jak bohater Beren-
ta, pójść na robotnika do fabryki,
gdy zamierzał napisać książkę o
ludziach pracy. Spór autentystów i
nieautentystów nie wydaje mi się
istotny, skoro rezultaty powieścio-
we uzależnione są od typu uzdol-
nień.

Słuszniej będzie tutaj zastanowić
się nad modelem powieści o pracy,
pamiętając, że wartość książki nie
zależy od tematu. Nie wolno jed-
nak zapominać, że praca zajmuje
dużą część ludzkiego życia i nie
można jej wyeliminować z litera-
tury. W ostatnim jednak okresie

KONRAD FREJDLICH: Pozwolę
sobie nawiązać do tego, o czym tu
już mówiono. Otóż gdybyśmy chcie-
li zawierzyć autentystom bez rez-
ty, sprowadzilibyśmy siebie do roli
pamiętnikarzy, co najwyżej repor-
terów. A przecież pamiętniki i re-
portaże są dla literatury ledwie
surowcem, podobnie jak są materia-
łem źródłowym dla socjologa czy
historyka. Nie znaczy to jednak, że
wolno lekceważyć znajomość re-
aliów. Myślę, że wiedza nie zaszk-
odzi pod warunkiem jednak, że
dostrzeżemy związki pomiędzy zja-
wiskami, że w fabryce pełnej pra-
cujących maszyn dostrzeżemy czło-
wieka na tle innych ludzi. Nie da
się bowiem jednostki ludzkiej wy-
wać ze związków jakie w każdej
chwili łączy ją z całym światem.
Marksisci powiadają, że człowiek
stał się człowiekiem dzięki pracy.
Cała literatura dotychczasowa jest
zaprzeczeniem tej obserwacji, bo
nawet ta najbardziej socrealistycz-
na, przynosi dowody przeciwnie,
uczy nas, że praca odczłowiecza. A
przecież to nieprawda i, przyznam
się, czekam, kiedy powstanie książ-
ka, która mówi o tym, jak się
kształtuje człowiek w procesie pra-
cy, a nawet więcej: jak człowiek
tworzy się poprzez pracę. W na-
szych warunkach ustrojowych to te-
mat nie cierpiący zwłoki, tym bar-
dziej, że nie tylko u nas, ale na
całym świecie zacięra się granica
między pracą fizyczną i umysłową.
Coraz częściej robotnik wykonuje
czynności wymagające wysokiej
sprawności intelektualnej, prace
twórczą, w której, podobnie jak my,
pisarze, zmagają się z twórczym.
Ukazywanie tego procesu powinno
być ambicją literatury współczes-
nej. Oczywiście zawsze trzeba za-
stanawiać się, w jakim kierunku ta
praca jest skierowana, czy nie obró-
ci się przeciwko ludziom. I ukazu-
jąc człowieka w jego pracy trzeba
znaleźć taki punkt odniesienia, że-
by ukazać mechanizmy współczes-
nego świata. Trzeba pokazywać
człowieka świadomego swej situa-
cji.

JAN KOPROWSKI: Czy to wy-
starczy? Przecież bohaterowie okre-
su socrealistycznego wprost pękali
od świadomości, mieli nadświadomo-
ść, a rezultaty powieściowe zna-
my. Mnie się wydaje, że rozstrzyga
pasja, spontaniczna radość z wy-
konywanej pracy. Świadomość nie
wystarczy.

KONRAD FREJDLICH: To była
świadomość autorów, a nie bohate-
rów książek.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI:
Znam biografię listonosza, który z
zapamiętaniem, pasją wiele lat no-
sił co dzień na Snieżkę pocztę. Kle-
dy odszedł na emeryturę uprosił

swego następcę, aby mu pozwolił
nosić listy dalej, a przecież każda
taka wyprawa połączona była z
ogromnym wysiłkiem, zwłaszcza dla
starca.

JAN KOPROWSKI: Skąd ja to
znam?

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI:
Przypominam sobie teraz, że takie
opowiadanie pt. „Stary listonosz”
napisał Jan Koprowski. Listonosz
ten to wzruszający przykład czło-
wieka przejątego pracą, ale i do-
wód na to, że niekiedy praca zuba-
ża człowieka. Myślę, że prawdzi-
wy będzie człowiek żyjący pełnią
życia, który ceni pracę, ale nie sta-
je się jej niewolnikiem. Po prostu
człowiek w życiu.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ:
Postać stworzona przez Kopro-
wskiego ma cechy maniakałne.

JAN KOPROWSKI: To postać au-
tentyczna, choć może nietypowa.
Ale tyle się u nas napisało o pra-
cy złe, schematycznie, że niekiedy
mam wrażenie, iż temat pracy zde-
walał się. Odbudować będzie
można te szkody poprzez wyjątko-
wo rzetelną literaturę, bo przecież
praca, jako taka, nie zdevaluowała
się. Jeśli człowiek coś znaczący, to
poprzez pracę, którą wykonuje,
przez dzieło, które po sobie zos-
tawia. Utwierdza się osobowo jako
indywiduum. Na tym tle oświado-
mienie sobie, jak niewiele jednak
powiedziała o tym literatura współ-
czesna, jest rzeczą przejmującą.

KONRAD FREJDLICH: Litera-
tura rzeczywiście powiedziała zbyt
mało, ale to dlatego, że mimo akcji
stypendiów kontakty pisarzy z
ludźmi pracy są zbyt enigmatyczne.
Zresztą stypendysta nie wyniesie z
fabryki prawie żadnego doświadcze-
nia: dowie się, co najwyżej, o nor-
mach i planach produkcyjnych, po-
zna procesy technologiczne. A to za-
leżwie akcesoria pracy, o ludziach
w fabryce dowiedzieć się czegoś
nie sposób. Chyba używając
podstępów. Skąd się bierze ta nie-
ufość wobec ludzi pióra, pisarzy
a nawet reporterów, wyjaśnić nie
potrafię. Myślę, że na to pytanie
odpowiedzieć mogą raczej zaintereso-
wani działacze partyjni i związo-
wani, którym sprawy te leżą prze-
cięż na sercu. Nie znaczy to jed-
nak, że mimo trudności, możemy
pomijać temat pracy ludzkiej w na-
szych książkach. Spotkanie nasze
jest dla mnie dowodem, że każdy
z nas ma gdzieś w podświadomości
nie napisaną jeszcze książkę o ludz-
kim wysiłku, który przeobraża
świat. Choćby dlatego warto było
porozmawiać. Dziękuję Panom za
udział w tej bardzo potrzebnej,
choć chyba nie zakończonej, dysku-
sji.

Przeklęta, błogosławiona

Dyskusja o pracy w literaturze

rza nasze państwo. I, wierząc mi,
opisałbym ich zniechęcenia i upad-
ki, wytrwałość i upór, i sukcesy
w pogłębianiu wiedzy, która bę-
dzie służyła nie tylko im samym,
ale nam wszystkim. Wybaczcie, je-
śli się rozgadałem, ale tak to wła-
śnie widzę i chętnie usłyszę, co Pa-
nowie o tym sądzą.

JAN KOPROWSKI: Spotkanie
nasze jest bardzo potrzebne, skoro
Rymkiewiczowi — przyszedł pomysł
powieści o pracy, gdy tylko zaczę-
liśmy o tym mówić. Pozwólcie jed-
nak, że wzorem poprzedników przy-
pomnę pewien fakt historyczny.
Dla mnie datą narodzin powieści o
światowym znaczeniu, w której
proletariat występuje jako klasa
świadoma swych celów jest rok
1887. Wtedy to Zola ogłosił „Ger-
minal”. Stworzył on jednocześnie
pewien archetyp literacki, który
powraca do dziś na kartach książ-
ek innych pisarzy: miasto pokazy-
wane jest jako źródło zepsucia, fa-
bryka jako molołch pożerający ży-
cie, maszyna jako demon zagrażają-
cy człowiekowi. A mnie się wy-
daje, że takie widzenie powinno
należeć już do przeszłości. Bo prze-
cięż wszystko zależy od celu, jaki
sobie człowiek stawia poprzez
pracę.

Przechodząc do spraw nam bliż-
szych, na grunt współczesnej li-
teratury polskiej, chciałbym przypo-
mieć pewien epizod ze słynnego zja-
zdu szczecińskiego ZLP w r. 1949,
na którym uchwalono socrealizm
jako kierunek obowiązujący bez
reszty. Mówiono tam wiele, aby
iść w życie, poznawać ludzką egzy-
stencję, gdyż bez znajomości re-
aliów nie powstaną dobre książki.
Wtedy na trybunę wszedł już nie
żyjący Adam Polewka i zapytał:
„A jeśli zechcę napisać książkę o
ministrze, to czy najpierw muszę
być ministrem?” Mieliśmy tutaj py-
tać, więc pytam: czy dla napisania
dobrej powieści o pracy pisarz mu-
si przejść wszystkie stopnie do-
świadczenia produkcyjnego? Bo
może wystarczy samo wnikięcie w
to zagadnienie połączone oczywi-
ście z wiedzą o temacie. Nawiążę
do tego, co mówił Rymkiewicz, któ-
ry chciał podglądać ludzi pracy w
ich życiu prywatnym. Kto wie, czy
to nie słuszna droga. Choć można
oczywiście uważać inaczej, można
powodzenie próby powieściowej o
pracy uzależniać od osobistego do-
świadczenia produkcyjnego autora.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI:
Koprowski, jak mi się wydaje, dot-
knął tu odwiecznego sporu auten-
tystów z nieautentystami. Twórca
autentyczny, nieżyjący już Stani-
sław Czernik, stworzył teorię bar-

zbyt często spotykamy się z takim
obrazem rzeczywistości na kartach
współczesnych polskich książek.
Nasz ruch literacki podlega, nieste-
ty, prawom wahadła. W okresie
socrealizmu nastąpiło przegięcie na
kierunek: człowiek nieustannie pra-
cujący. Teraz znowu kierunek prze-
ciwny: człowiek nigdzie nie pra-
cujący. Za przykład najbezpieczniej-
szy niech posłuży „Histeryczka”
Magdy Leja, a tego rodzaju książ-
kę było po październiku bardzo
dużo.

KONRAD FREJDLICH: Można
podać przykłady jaskrawsze, cho-
by opowiadania Nowakowskiego
czy Brychta.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI:
Magda Leja wydaje mi się właści-
sza, bo nie ma pięści. Na czym pole-
ga błąd jej powieści? Otóż człowiek
nigdy i nigdzie nie pracujący wy-
daje mi się taką samą fikcją jak
człowiek, który po zakończeniu
pracy przeżywa dramat dlatego, że
wraca do domu. To są ludzie oka-
lęczeni i literatura, która kreuje
takie postaci, jest niehumanistycz-
na.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ:
Słuszne to spostrzeżenie, ale chcę
nawiązać do tego, co mówił Ko-
prowski na temat osobistego do-
świadczenia pisarza. Jestem bo-
wiem zdania, że decydująca jest
jednak umiejętność podpatrzenia i
przejęcia się tematem. Dąbrowska
powiedziała mi kiedyś, że nie za-
siada do pisania, zanim temat nie
przejmie jej w tym stopniu, że
przechodzi w obsesję. Można te sło-
wa odnieść także do tematu pra-
cy. Jakież on ma złożone treści,
ileż on kryje w sobie niepokojów,
które powinny stać się przedmio-
tem naszej pilnej uwagi i observa-
cji. Weźmy choćby sprawę specja-
lizacji, która zmusza robotnika do
powtarzania tych samych ruchów
przez wiele godzin. Jeszcze gorzej
wygląda to w systemie potoko-
wym, gdzie mamy do czynienia z
oderwaniem związku emocjonalne-
go: tego co się robi, z tym, co bę-
dzie na końcu. Na przykład ktoś
musi przekreślać jedną i tę samą
śrubkę. Działanie takiej monoton-
nej pracy jest na pewno oglupia-
jące, niszczące. I nie trzeba doświad-
czenia osobistego przy taśmie mon-
tażowej, żeby to opisać.

JAN KOPROWSKI: Mnie się wy-
daje, że w powieści o pracy naj-
większe szanse ma bohater obdarzo-
ny pasją, taki człowiek, który ma
do niej twórcze podejście. Znaj-
dziemy takich ludzi w zakładach
produkcyjnych na różnych stanowis-
kach.



Fot.: W. Parys

Próba reportażu

Brywer i Engerholtz, Engerholtz i Brywer — łączą mi się we wspomnieniach nieodmiennie. Pryszczaty elegancik, dandys wagrasty — do obu pasuje jak ulał.

Brywer — nie usługuje przypomnieć sobie, jak nazywał się naprawdę, choć miał przecież jakieś imię i nazwisko, nazywaliśmy go też Siwy — włosy miał takie jak skrzydła gołębia „brywra”, gołębie próbował zresztą hodować na strychu Domu, ale je szczury zjadły, Eryka Engerholtza nazywaliśmy Derykiem nie wiem dlaczego.

Eryk Engerholtz był — jeśli można tak rzec — wytworem trudnej historii naszego kraju. Sięrota — w pełni tego słowa — wojenny. Syn esesowca i Polki, niemowlak w chwili zakończenia wielkiej wojny. Ojciec nie wiadomo nawet, czy zginął, czy na Zachód uciekł przed radziecką ofensywą, jakaś jego rodzina dała o sobie znać po dwudziestu latach z NRF-u, ale im Deryk nawet nie odpisał; matkę w czterdziestym piątym rozwalili mu partyzanci. Brywer natomiast, dziełem jest i wytworem naszej Starej. Produkt i żywy komentarz do medali przy znawczym jej wielokrotnie za wybitne osiągnięcia pedagogiczne i oszczędności milionowe czynione w prowadzonych przez siebie Domach. W pierwszych latach po wojnie nikomu się nie przelewało, niedostatek a nawet bieda były zjawiskiem powszechnym. O postawie obywatelskiej naszej Starej — w chwili, gdy cały kraj zaciskał pasy — bardzo dobrze świadczy oszczędne gospodarowanie funduszami społecznymi w pierwszym, którym kierowała po wojnie, Domu Dziecka na Zapolskiej, położonym na przedmieściach, nad małym jeziorkiem. Chłopcy zimą zbiegali nad nie, aby poślizgać się na lodzie, na prymitywnych łyżwach z deszczulek drewnianych i wtopionych w nie metalowych prętów. Chłopcy w zimie chodzili bez butów, „łyżwy” paskami przytracali do stóp owiniętych w szmaty, nieliczni tylko szczęśliwcy mieli rękawiczki, wełniane czapki, czy swetry z unrowskich paczek. Przyglądając się Brywer ręce bardziej jeszcze miał odmrożone niż Deryk, twarz bardziej jeszcze starczą.

Ręce Brywera to niebiesko-siwa, galaretowata masa, odrażają-

ca w dotyku, zimna i lepka. Skóra na twarzy — i całym chyba ciele, bo starał się przy nas nie rozbić — ma porowatą, poprzecinaną niebieskimi żyłkami i głębokimi rysami, niby zmarszczkami wrytymi przez wioletoleńskie cierpienie. Czasem ciekła mu ze skóry jakaś biaława ropa, wyciskał ją i okładał się kompresami.

Podobni byli do siebie Brywer z Derykiem bardzo, jak bracia — tym głębszym, „rodzinnym” podobieństwem, za którym wcale nie musi iść identyczność wykreju pod bródką czy nosa. Podobni byli przez ową wieczną troskliwość jaką przywiązywali do swego wyglądu, uwagę jaką przywiązywali do codziennej toalety i zabiegów kosmetycznych. Obu bardzo często spotkać można było wyciskających sobie wągry przed lustrem, wycinających sobie jakieś skórki lub włoski. Podobni byli choć jeden starczą twarzyczkę wtopioną w czaszkę nieproporcjonalnie dużą, osadzoną miał na korpusie dosyć mizernym — taki chuderlawy pokurcz, a drugi — twarz starca okoloną białym włosem, dźwigał na barach szerokich, pozbawionych niemal karku, z wygiętymi w kabłąki ramionami; siwy, stary olbrzym. Obaj gdy ich poznałem skończyli właśnie dwadzieścia lat.

Dorośliśmy, rozsypaliśmy się po świecie. Jedni z nas powrócili do domów, które w naszych dokumentach z Sądów dla Nieletnich i Kuratorów określane są jako „rodziny”. Jesteśmy teraz dorośli i silni (a także zahartowani), potrafimy powybić zęby naszym ojcom, gdyby próbowali na powrót zabierać się do bicia, potrafimy kopniakami powyrzucać za drzwi amantów naszych matek. Inni z nas otrzymali od państwa, od organów powołanych do opieki nad nami, mieszkania — jednoosobowe klitki na strychach, w „wysokich suterrenach”, wilgotne izdebki w drewniakach i czynszówkach stanowiących dawniej plagę tego miasta, opuszczanych coraz częściej przez dawnych mieszkańców, którzy przeprowadzają się do nowych bloków, bezpowrotnie porzucając uwłaczające godności człowieka warunki. Ci są chyba szczęśliwsi, choć subiektywnie czują się szczególnie pokrzywdzeni. Żyją zawieszani w próżni, po-

zbawieni jakiegokolwiek kontaktu społecznego, środowiska, przyjaciół — nawet ambicji, aby zmienić stan, który został im dany.

Jedni próbują urządzać sobie życie na mieszczańską modłę, jeśli zdolali tym gdzieś nasiąknąć. Kupują meble na raty i radio z adapterem, próbują żenić się i wychodzić za męża. Inni wyruszają co jakiś czas ze swoich zimnych, nieopalaných nor „w Polskę” — na Śląsk, do kopalni, do pracy w stoczni, zobaczyć po raz pierwszy w życiu morze i inne miasta — i wracają. Nie chce mi się grzebać w ich życiorysach, tylko, przypadkiem się na nie natykam — inaczej musiałbym chyba wygotowywać „akt oskarżenia”. Teoretycznie nawet to mój obowiązek.

Niektórzy z nas próbują reaktywować przyjaźnię, igną do siebie — uzyskując namiastkę dawnej wspólnoty i bezpieczeństwa. W zasadzie jednak unikamy się nawzajem, odwiedzamy się w czasie świąt, jakiejś okazji, nie lubimy wspominać. Kiedy spotykamy się niespodziewanie jesteśmy szczerze uradowani, w końcu przecież poza sobą nie mamy nikogo na świecie. Wolimy jednak pozostawać to przypadkowi.

W „Teresinie” Brywer prawdziwie króluje. Wołają i tutaj na niego „Siwy” — nawet kelnerki tak się do niego zwracają: „panie Siwy” — ale łebki, których dopuszcza do większej zażyłości, czują się zaszczytzeni mogąc mówić mu po imieniu. Zachodzę do tej kawiarni w drodze do Zarządu, wygodnie umawiam się w niej na kawę — widzę wtedy, że Brywer naprawdę jest tu „kims”. Na mój widok otwiera szeroko ramiona i dziewusie od stolików i długowłosi chłopcy patrzą wtedy na mnie z wyraźnym szacunkiem. Na jego stoliku stoi zawsze butelka wina — kilka sikaczy, mówi, wyciąga codziennie w bramie; zawsze otacza go grupa dziewcząt a niektórych — przynajmniej — naprawdę można mu pozazdrościć. Kiedyś zaproponował mi wspólny „ubaw” (staliśmy przy bufecie, kelnerka bez sprzeciwu podała nam dwie lampki wermuthu): „Mam tutaj takie dwie sztuki, świeże, licealistki — wyskondował z przekąsem. — No, zgoda? Spławię kumpła...”

Wydoroślał Brywer. Wie, co jest wart. Wie, co mu się od życia należy.

Ulica Abramowskiego często występuje w filmach polskich, mało-wnicze zaplecze — kręty nibywóz, wykładany białą cegłą — w razie potrzeby stać się może nawet bagdadzką uliczką. Ulica Abramowskiego to dwa rzędy ciasno stłoczonych czynszówek, ma złą sławę ta ulica, tak jak Skłodowa czy Kamienna, spadek po przedwojennej nędzarsko-knajakiej specyfice. I dzisiaj pełno tu pijackich melin, w każdym prawie domu; nadzwyczaj często z lumpowskich rodzin tych ulic rekrutują się znani w całym mieście łobuzy i prostytutki.

Na Abramowskiego mieszka Eryk Engerholtz — zdziwił się w pierwszej chwili, gdy nazwałem go „Derykiem” — wtopił się w nią zupełnie. Jeden kąt pokoju Deryka zastawiony jest butelkami po wódce, w drugim stoi żelazne łóżko, obok, pod oknem, stół i dwa krzesła, radio to samo, które pamiętam jeszcze z Domu (Eryk pracował wtedy w fabryce zegarów); pozostałe sprzęty — piec, maszyna elektryczna i szafa stanowiąca wraz z łóżkiem jego „wyprawka” — ledwo się mieszczą w tej kiszkowatej klitce.

W łóżku zaścielonym szarą od brudu pościelą, klócą się placzliwie dwie dziewczyny w niebieskich halkach z poobrywanymi ramionkami. Deryk siedzi na brzegu w kalessonkach, popija z musztardówki herbatę i od czasu do czasu ucisza je mrukliwie. Zadowolony z mojej wizyty nie był, zapędził jednak dziewczyny do roboty: ubrały się, zamiatają, upychają strzepy waty wylazającej z materacy i gotują obiad. Zajrzał ostrożnie jakiś chłopak — dał mu Deryk forsy i posłał „do babci” po pół litra. Siedzieli potem w trójce jak myszy pod miotłą, gdyśmy popijali przy stole. Dopiero gdy podochocił sobie, posłał po następną butelkę a ja dołożyłem na trzecią, pozwolił Dyrek im się napić.

Pokazywał mi stertę listów, jakie dostaje od różnych podfruwajek, zdjęcia z płomiennymi dedy-

Na wyzwolenie Kielce

Od Wisły skutej lodem szła wolność
Ruszyła rankiem pomrukiem dział
Przez zaspy i zasieki
Przez bunkry
Zerwane mosty
Szła ku Kielcom i dalej, na Zachód.
Szła w walonkach
Pod hełmem
Pod uszanką
Z pepeszą wężącą wroga
Przez ogień wodę i krew
Innej drogi nie było
Na szlaku wolności
Zostało wielu chłopców
Spod Moskwy, Winnicy
z polskim niebem w oczach
Na szlaku wolności
Leżało nasze miasto

15 stycznia 1945 roku, od rana, rozgorzał zacięty bój o Kielce. Tego dnia o zmroku, przednie oddziały Armii Radzieckiej wdarły się na przedmieścia. Główne natarcie szło ulicą Piotra Sciegieńskiego, pomocnicze od Bukówki i Folwarku. Hitlerowcy zorganizowali na ulicach miasta silne punkty oporu. Ponad dachami kamienie, ponad wieżą katedralną rozrywały się pociski, pękały granaty, odłamki uderzały w ściany domów, w okna. W wyniku silnego ognia artyleryjskiego wiele czołgów radzieckich zostało rozbitych. Mimo zażartej obrony okupanta miasto odzyskało wolność. Niemcy uciekali w kierunku Częstochowy, gubiąc działa, helmy po ryszotkach, zostawiając wzdłuż traktu zabitych.

17 stycznia 1945 roku, na Placu Wolności, ponad głowami zebranych, rozległy się dźwięki hymnu: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Co roku w styczniową noc Dwustu czterdziestu ośmiu „bojcow” Wstaje na apel poległych — Lejtnant Konstanty Ponomorow — Ciężko ranny obok kościoła św. Wojciecha Zmarł w szpitalu kieleckim — Radzistka Galina Popowa Po trafieniu granatem hitlerowskiego czołgu Została przez inny czołg rozjechana — Szeregowiec Trofim Kowalczyk — Ciężko ranny na ulicy Henryka Sienkiewicza zmarł w szpitalu kieleckim Dziewięćdziesięciu sześciu Znamy z imienia i nazwiska Stu pięćdziesięciu dwóch bezimiennych Spoczywa w mogiłach w styczniowy dzień Uszanujemy oddane za wolność życie Minutą pamięci.

ALINA KULIŃSKA

Przy zgaszonym świetle

Oczu twoich głębia domnlemana,
Rzeźba twojego uśmiechu,
Marzenie tylko o tobie.
Jakże jesteś ode mnie daleko,
Odległy o stada
przed snem liczonych owiec...

WŁADYSŁAW HUZIK

Szczęście

szukam miłości i u kobiet brzydkich
co sutki mają niebieskie jak ziemniak
co biodra mają wyschnięte jak tydki
i piękna szukam i u kobiet brzydkich

więc jeszcze wciągnij w płuca złoty okruh słońca
srebrnych pajęczyn słońca rozwieś w zmarszczkach oczu
słuchaj to barwy mówią to zielona trawa
w zieloności się ukryj
w zieloność się stoczysz

kacjami („twoja na zawsze, kochająca, porzuć najdroższy tę małą”), chichotał komentując „kłopoty” jakie bez przerwy mu się z dziewczuchami zdarzają. Przerwał na chwilę żeby wagra wycisnąć przed lusterkiem.

Wyszedłem od niego w nocy. Na rogu zastąpiła mi drogę ferajna, pięciu chłopców z Abramowskiego: „Ty koleś, czego tu...”

„Zostaw go frajerze — powiedział drugi — to kolega pana Eryka. Ja bardzo pana przepraszam, w porządeczku...”

Czteropiętrowy budynek, w któ-

rym mieściła się „Teresina” rozebrano w rekordowym tempie, położona po przekątnej kawiarnia „Polonia” to inny zupełnie świat, Brywer tam nigdy nie zagląda.

Pisze teraz reportaż zatytułowany „Miasto się zmienia”, odwiedził niedawno Pracownię Urbanistyczną, w głowie się kręci:

„W roku 1970 otrzymany następna, nowoczesna trasa Wschód—Zachód, bezkolizyjne skrzyżowania, cztery strumienie pojazdów... Ulica Abramowskiego zniknie z powierzchni ziemi... Wyburzeniu ulegną domy w kwadracie ulic...”



Rys. Edward Ingot

KONRAD FREJDLICH

Znaki niepokoju i znaki zapytania

ŁÓDZKIE DEBIUTY KSIĄŻKOWE
W R. 1969

Debiuty książkowe tradycyjnie budzą żywe zainteresowanie krytyki. Instytucja ta, zwykle bardzo ociężała, cierpiąca do dawna na niedowład, zamykająca oczy na wiele wartościowych pozycji wydawniczych, okazuje się bardzo operatywna i energiczna, kiedy przychodzi jej odnowić próbę proklamującego swoje istnienie autora. Najbardziej niewydarzony zamysł wstępującego pisarza jest na ogół starannie omawiany przez życzliwych recenzentów, wszelkie literackie istnienie, choćby to było istnienie na kredyt, znajduje gorących zwolenników.

Sądzę, że ta recenzyjna polityka, nie jest zwykłym graniem na nerwach „dorosłej” literaturze. Debiuty mają swoich entuzjastów wśród krytyków przede wszystkim dlatego, że szukają oni nowych znaków nadchodzącego czasu, czekają na artystyczną zapowiedź pokolenia, które zaneguje dokonania dotychczasowe i otworzy jakiś nowy, nieznaną rozdział literatury współczesnej.

Z wyjątkiem całej fali debiutów po przełomie październikowym nadzieje te przeważnie się nie spełniają. Pojawiały się oczywiście książki najmłodszych będące od razu dokonaniem, ale nowych jakościowo propozycji właściwie nie ma. Nie przyniósł ich także rok ubiegły, w moim przekonaniu mniej obfitujący w dokonania niż poprzedni, kiedy to zadebiutował Bohdan Zadura czy Janusz Głowacki.

W Łodzi zresztą rok 1969 był dla debiutantów raczej pomyślny. Lista autorów, którzy ogłosili swoją pierwszą książkę, jest dosyć obszerna. I co ciekawsze, tradycyjnie ruchliwe środowisko młodych poetów, tym razem pozwoliło sobie odebrać palmę pierwszeństwa prozalkom. Mam tu na myśli wartość dokonania, gdyż pod względem ilości publikacji mamy do czynienia z idealnym remisem.

Choć przynajmniej palme pierwszeństwa debiutom prozatorskim, omówienie swoje zaczęło mimo wszystko od przeglądu wydarzeń poetyckich. Wydarzeń w ścisłym znaczeniu tego słowa wskazać zresztą nie mogę. Muszę raczej skonstatować, że debiuty poetyckie łodzian w roku ubiegłym są potwierdzeniem zjawiska, z jakim obserwator ruchu literackiego spotyka się od dawna na licznych festiwalach: sprawności technicznej, kulturze słowa w utworach najmłodszych twórców rzadko towarzyszy siła emocjonalnego przeżycia, a jeszcze rzadziej wypowiedź wykraczająca poza oczywistość. Są to najczęściej pastisze, albo też, jak to określił kiedyś specjalista od „wnucząt” Julian Rogoziński, misterne konstrukcje poetyckie wznoszone z prefabrykatów. Łódzkie tomiki poetyckie debiutantów roku 1969 wydane w ramach tzw. „Biblioteki Młodych” (przy

współdziałaniu KKMP i ZMW) potwierdzają tę ogólnopolską tendencję. Nie można, rzecz oczywista, na tej podstawie wyciągać wniosków zbyt krańcowych, gdyż w pierwszej książce poeta rzadko przemawia własnym głosem, samoświadomość autorska przychodzi nieco później. Wolalibyśmy jednak, aby debiutanci byli nieco młodsi: debiut trzydziestolatka już zobowiązuje. Tym bardziej, że mamy do czynienia z autorami, którzy od dawna terminują w poezji.

Chciałbym zostać dobrze zrozumiany: nie podważam tutaj wartości tomików debiutantów łódzkich roku 1969, choć znając publikacje prasowe świeżo pasowanych autorów mogłem spodziewać się nieco więcej. Mówię to dlatego, że wszystkie, bez wyjątku książeczki ostatniej „Biblioteki Młodych” cechuje warsztatowa poprawność, a nawet ten rodzaj dojrzałości, który w odniesieniu do arkusza poetyckiego rzadko stanowi zaletę. Znajdziemy tam bowiem utwory gładkie i wyczelowane, nie znajdziemy jednak prawie wcale wierszy intrygujących, młodzieńczych w najlepszym znaczeniu tego słowa, bo stanowiących zapowiedź własnych poszukiwań, własnych formuł.

Wśród tomików „Biblioteki Młodych” najciekawszy wydaje mi się debiut Rafała Orlewskiego. Najstarszy wiekiem spośród łódzkich debiutantów roku 1969, jest jednocześnie na ich tle najbardziej młodzieńczy. Tomik Orlewskiego pt. „Krzesiwo” przynosi sporo rozmaitych propozycji formalnych: od rymowanych sonetów, poprzez regularne, sylabiczne strofy, po białe wiersze. Już to jest dowodem poszukiwań i mutacji, twórczego, autentycznego niepokoju. Niepokój ten na ogół nie sprawdza się w utworach tendencyjnie zaangażowanych, pisanych najwyraźniej na rozmaite, tematyczne konkursy poetyckie. Tak np. wiersz „Polska” jest chyba najmniej udanym utworem tomu, podobnie zresztą jak równie werbalna „Przysięga”. Na szczęście takie artystyczne niewypały stanowią w „Krzesiwie” wyjątek, bowiem generalnie rzecz biorąc mamy do czynienia z tomem zwartym, interesującym i dość samodzielnym. Szereg utworów takich choćby jak „Ziemia mnie powtórzy”, „Pejzaż” czy wiersz tytułowy są dowodem świadomej pracy nad słowem i aktywnej wyobraźni, a to już niezła metryka urodzenia wstępującego poety.

Bardziej dojrzały warsztatowo, choć mimo wszystko mniej intrygujący od „Krzesiwa”, jest tomik Haliny Sobczak-Jarmolowskiej. Jest w nim poetką nastrojów, dla których często znajduje precyzyjną, liryczną definicję. Osobista nutka świadczy o wrażliwości, nie brak też Jarmolowskiej daru obserwacji. Co ciekawsze, wbrew tytułowi książki „Są ścieżki cieniutki”, zdobywa się ona niekiedy na ton gwałtowny, namiętne, jak choćby w

wierszu „Niepokój”, aby w innych utworach powrócić do właściwej jej tonacji mellowej, w której łagodna rezygnacja skojarzona jest ze spokojną zadumą nad biegiem życia. Utwory te cechuje wysoka sprawność formalna, nie spotkamy w nich wyraźnych potknięć ani zgrzytów, ale nie spotkamy też wierszy porwujących, odkrywających. Mimo jednak tych niedostatków obu tomików łódzkie środowisko literackie poprzez debiut Orlewskiego i Jarmolowskiej wzbogaciło się o twórców reprezentujących już pewien poetycki poziom.

Ślaby jest debiut poetycki Mariana Złocha. Wprawdzie utwory w tomiku pt. „Zabawy na wietrze” osiągają kryterium drukowalności, ale jako propozycja poetycka znaczą bardzo niewiele. Sporo tu wprawdzie wierszy zbudowanych na polinie, sporo w nich dowcipu, (szkoda jednak, że tyle razy powtórzonego, jak choćby w pseudoludowym cyklu tytułowym), najczęściej jednak mamy do czynienia z imitatorstwem.

Pomimo jednego niewypału, plon łódzkich debiutów poetyckich roku 1969 trzeba uznać za pomyślny. Myślę też, że zarówno Orlewski jak i Jarmolowska swoimi następnymi dokonaniem udowodnią, że nie otrzymali debiutu na kredyt.

Jak już wspominałem wcześniej debiuty prozatorskie łodzian, przy całej nieporównywalności poezji i prozy, znaczą chyba więcej niż próby poetów. Po prostu odnoszę je do takich samych poczyniń w innych regionach naszego kraju. Sądzę przy tym, że debiutancka książka Andrzeja Wilczkowskiego pt. „Śniegi pokutujące” jest najwybitniejszym debiutem minionego roku w ogólnopolskiej skali. To zresztą książka szczególnego rodzaju: autor nazywa ją w przedmowie „opowieścią o trzeciej polskiej wyprawie eksploracyjnej w Hindukusz Wschodni” podkreślając równocześnie, że „wszystkie występujące w książce osoby, jak również opisane w niej fakty — są prawdziwe”. Może to sugerować podróżniczy, przygodowy reportaż, tymczasem mamy do czynienia raczej z biograficzną powieścią. Dzieje wyprawy wysokogórskiej w Hindukusz są tu zaledwie pretekstem do powiedzenia surowej, brutalnej prawdy o ludziach. Można by w tym miejscu strasztować powiedzenie jednego z wybitnych pisarzy: cały kłopot z życiem polega na tym, że za dużo w nim literackiej

fikcji. Nie zamierzam tu bynajmniej kwestionować autentyczności faktów przedstawionych w „Śniegach pokutujących”. Wprost przeciwnie, uważam nawet, że debiutujący autor zdobył się na rzadką odwagę: mówi szczerze, bezpośrednio, nawet, jak już wspominałem, brutalnie. Na tym zresztą polega wartość jego książki, która jednak, choć programowo antyliteracka, superautentyczna, jest w sumie sprawnie napisaną powieścią.

Mniej dojrzała od wspomnianej tu książki Wilczkowskiego jest powieść Eugeniusza Iwanickiego pt. „Zmowa obojętnych”. Autorowi niczego właściwie nie brak: posiada własny sposób prowadzenia narracji, dużą umiejętność dostrzegania, znajomość realiów codziennego bytu, a jednak trudno mówić o jego książce jako o dokonaniu, chociaż debiut prezentuje się zupełnie okazale. Sądzę, że Iwanickiemu nie udało się konflikt, przy całym swoim, być może, autentyzmie, zapożyczony nieco z Mniszkówny. Nie sugeruję w ten sposób jakichkolwiek ocen i aby z góry uprzedzić wszelkie nieporozumienia, stwierdzam, że uważam debiut Iwanickiego za ambitny i znaczący. Przypuszczam jednak, że umieszczając swego bohatera w świecie tyleż zatechłym, co i po prostu śmiesznym, mimo woli, wbrew sobie, skompromitował humanistyczny heroizm, którego rzecznikiem jest właśnie bohater. Debiut Iwanickiego jest jednak, przy wszystkich swoich brakach, zapowiedzią prozy ambitnej, ważkiej, sądzę też, że w następnych swoich realizacjach pisarz ten dojdzie do istotnych dokonań.

Najmniej potrafię powiedzieć o trzecim łódzkim debiucie prozatorskim. Powieść Tadeusza Ślupeckiego pt. „Tamto dziwne lato” jest książką sprawną warsztatowo, potoczystą, gładką, przynosi też sporo celnych obserwacji obyczajowych z życia głębokiej prowincji. Autorowi nie udało się chyba jednak zrealizować swego podstawowego założenia: nie potrafił dostatecznie wyrazić spardoiować „prymitywnego kultu literatury, ciałe jeszcze żywego w niektórych środowiskach naszego społeczeństwa” (cytuje za wydawcą). Osłabia to oczywiście znaczenie debiutu Ślupeckiego, choć go nie przekreśla.

PS. Wszystkie omówione tu książki ukazywały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

W poszukiwaniu nowego bohatera

Literatura o czasach wojny i okupacji ma już swoją czterdziestoletnią tradycję; coraz bardziej do głosu dochodzi ten typ literatury, który stanowi interesujące przemieszczenie autentycznych doznań autora z fikcją. Granice między tymi na pozór odrębnymi elementami dzieła literackiego poruszają się za cierać, rodzi się nowy bohater, w którym skupia się suma przeżyć nie tylko wojenno-okupacyjnych, ale i czasów kształtującej się stabilizacji. Sprawa-

dzenie dwóch czasów do jednej, jakby umownej płaszczyzny, pozwala na wnikliwsze wyważenie wartości moralnych i tego co ma ocalać, a co ulec zniszczeniu lub zapomnieniu. Jest to niewątpliwie śmiała próba zaniechania analitycznych celów na rzecz syntezy i nowego kształtu humanizmu.

Nietypowym bohaterem jest Roman Leśniewski, główna postać i zarazem narrator „Krajobraz z tarniną” Władysława Ogrodzkiego*). Nie jest on

typem w znaczeniu psychologicznym lecz osobowością, która w naturalny sposób zachowuje dystans psychiczny nie tylko z otoczeniem, ale i z samą sobą. Dzięki temu zyskuje ona więcej walorów obiektywnych, stać ją na sądy przemysłowe i z pełną otwartością może powiedzieć o sobie: „Z wojny wychodziłem niewiele dojrzały, niż w nią wkroczyłem. Nie czułem się ani zahartowany, ani oczyszczony bólem. Okrucieństwo i cierpienia, które spadły na miliony, a dotęgnęły moich bliskich, odczułem tylko moralnie. Nie miałem w nich prawdziwego udziału...”.

Narrator przechodzi obok śmierci, walki o byt, obok serdeczności i nienawiści zupełnie obojętnie. Można nawet powiedzieć go o wygodnictwo, czytelnikowi wydaje się, że bohater traktuje życzliwość ludzką względem jego osoby jako obojętne. Nie należy do tych, którzy swym postępowaniem i zachowaniem odstrasza od kontaktów towarzyskich. Wprost przeciwnie — w niektórych sytuacjach wzbudza jego postępowanie opiekuncze uczucia. O od-

ważeniu trudno jest mówić. Jest tym człowiekiem, który więcej bierze, niż daje. W chwili rozpoczęcia akcji samoświadomość, jak kontrola bohatera są niki, żyje on byle żyć, bez specjalnej pasji poznawania ludzi, drażenia sytuacji, wczuwania się w problemy, nie pokoje bliskich. Jego erudycja humanistyczna stanowi jakby autonomię, a nie integralną część jego osobowości. Dopiero w trzeciej części powieści autematyczne wątki są poszerzone, coraz więcej tam introspekcji, kosztowne retrospekcji. Analiza minionego czasu, ciągłe odkrywanie nowych warstw własnego sumienia (bardzo monolitycznego w dwóch pierwszych partiach książki), podsumowanie swego nijakiego zyciorysu wojennego, rozwiązanie wielu niedopowiedzeń stanowi kulminacyjną część powieści.

Autor może zyskać sobie sympatię czytelnika dzięki znacznej umiejętności warsztatowej w od dawianiu zwyczajności życia codziennego i języka bohaterów. Zwłaszcza godne podkreślenia jest wychwycenie przez Ogrodzkiego specyfiki językowej

poszczególnych środowisk. Zresztą w ogóle autor dąży do maksymalnego wykorzystania artystycznych środków wyrazu, oczywiście w miarę potrzeb. Rygor i powściągliwość cechują pisarza w szkicowaniu emocjonalnych sytuacji. Nie unika też Ogrodzki metaforyzowania (np. historia z zegarami, które wszystkie były nieczynne w Werltach — piękna metafora sytuacji we wsi odległej od ważnych wydarzeń politycznych i społecznych). Realizm zatacza dość szerokie kręgi, ma charakter panoramiczny. Konflikty społeczne na Warmii o zabarwienie narodowościowym w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu mają swój specyficzny kolor, który nie spotykany w naszej literaturze.

Powieść ta, kompozycja nie odbiegająca od tradycyjnych ujęć, jest nowatorska w obrazie bohatera, który wiekiem przynależał do pokolenia Kolumbów, a którego postawa wyzbyta jest patetycznego retuszu i pozy romantycznej. Ten sposób przedstawięcia człowieka lat wojny i okupacji odbiega od wzorów powieści wojenno - okupacyjnej,

tym samym dokonując ich rewizji. Czytelnikowi wydaje się początkowo, że ów okrutny czas w niczym nie zmienił mentalności, psychiki Romana, że szedł zupełnie oddzielnym torem, że bohater był ocalały z jego okrucieństwa. Sam narrator przecież przynajmniej, że cierpienia i okrucieństwa „odczuł tylko moralnie”.

Dopiero po wojnie, już w wolnej Polsce, następuje zaskakujące zderzenie historii osobistych z całokształtem przemian historycznych. Działanie wojny jest inaczej tu ukazane aniżeli w dotychczasowej literaturze, jest pośrednie, mechanizm czasu jaki skonstruował Ogrodzki, wyposażony jest w opóźnienie; kształtowanie świadomości społecznej i własnego profilu moralnego przebiega jakby z opóźnieniem, rzeczywistość wojenna dotarła do umysłu narratora w momencie, gdy czas i sytuacja na jej podsumowanie były ku temu stosowne.

*) Władysław Ogrodzki, „Krajobraz z tarniną”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1969, s. 410.

Na łamach Rocznika Łódzkiego

Niepisana tradycja stała się, że jedyne czasopismo poświęcone w całości dziedzinie Łódzi i Okręgu Łódzkiego — Rocznik Łódzki ukazuje się zwykle pod koniec roku. Ostatni XIII (XVI) tom Rocznika Łódzkiego wiernie kontynuuje linie, zadania i cele jakie wyznaczyła mu redakcja. Za zadanie pierwszoplanowe redakcja uznała publikację najważniejszych wyników badań naukowych poświęconych Łódzi i Okręgowi i tą drogą zapoznawanie całego łódzkiego środowiska i historyków polskich a także wielu ośrodków zagranicznych (bo Rocznik dociera do ponad 30 ośrodków naukowych w Związku Radzieckim, Czechosłowacji, Stanach Zjednoczonych, Rumunii, Francji, Anglii, Niemczech a ponadto do niektórych krajów nieregularnie) z pracami historyków łódzkich głównie z zakresu nowożytnych i najnowszych dziejów społeczności łódzkiej i łódzkiego przemysłu.

Artykuły publikowane na łamach Rocznika Łódzkiego traktują najczęściej o chlubnych tradycjach walk narodowowyzwoleńczych, np. specjalny VIII (XI) tom poświęcony w całości setnej rocznicy powstania styczniowego, czy o tradycjach walk o Polskę Ludową jak tomy VI (IX) z 1962 r. i X (XIII) z 1965 r. poświęcone dwudziestolecu powstania PPR i dwudziestolecu powstania władzy ludowej.

Profil tomu XIII (XVI) za 1969 r. kształtują głównie artykuły o problematyce Komunistycznej Partii Polski i jej działalności na gruncie łódzkim. Większość autorów podejmuje tematykę niedostatecznie uwzględnianą w dotychczasowych badaniach.

Barbara Wachowska zajmuje się od dość dawna tematyką walk klasowych wólcniarzy łódzkich w latach międzywojennych tym razem publikuje artykuł „Działalność łódzkiej organizacji KPRP w ruchu zawodowym w latach 1918—1923 r.”. W tym ciekawym studium autorka przedstawia generalne tendencje zawodowego ruchu wólcniarskiego podejmując równo cześnie próbę analizy słuszności lansowanej pod koniec omawianego okresu koncepcji jednolitego frontu klasowych związków zawodowych i próbując wyjaśnić różnice w poglądach na tę kwestię istniejące między KPRP a PPS.

Ciekawy problem współdziałania komunistów z ludowcami w sprawie jednolitego działania we Frontie Ludowym w latach 1935—1937 podejmuje Helena Brodowska w artykule „Ruch ludowy w województwie łódzkim w walce o jednolity front z robotnikami”. Brodowska zajmuje się „dwustronnym działaniem w kierunku zbliżenia chłopów i robotników, którym przyswieszciała idea prowadze-

nia wspólnej walki z wrogimi siłami rządzącego obozu sanacji i opozycyjnymi stronnictwami prawicy społecznej” (S. 40). Autorka zwraca uwagę, że najaktywniej popierał i realizował tę ideę w środowisku łódzkim Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici”, a w skali kraju redakcja „Chłopskiego Życia Gospodarczego”.

Tadeusz Czaplinski w artykule „Komitet Obrony Miasta Łodzi” pisze o mało znanej inicjatywie komunistów łódzkich zmierzającej do utworzenia konspiracyjnej organizacji antyhitlerowskiej. Był nią powstały w lipcu 1941 r. Komitet Obrony Miasta Łodzi. Ażkolwiek organizacja i działała zaledwie kilka tygodni, artykuł stanowi bardzo ciekawy przyczynek do okupacyjnych dziejów Łodzi.

Do tego okresu dziejów Łodzi nawiązuje Mirosław Cygański w artykule „Centralny Urząd Imigracyjny Reichsführera SS Himmlera jako komisarza Rzeszy do umocnienia niemieckiego w siedzibie w Łodzi (1939—1945)”. Z artykułu wynika jasno jak przestępczą rolę odgrywał ten urząd w germanizacji i eksploatacji ziem polskich a także ziem zachodniej Białorusi i Ukrainy.

Janina Schoenbrenner publikuje artykuł „Nauczycielskie prace Natalii Gąsiorowskiej-Grabowskiej”. Z artykułu jasno wynika, że prawdziwy naukowiec może pracować z pełnym pożytkiem także na niwie nauczycielskiej. Dobrze się stało, że ten pierwszy artykuł o wielkiej uczoniej i wysokiej rangi pedagogu, jednym z pierwszych organizatorów Uniwersytetu Łódzkiego i wieloletnim kierowniku Katedry Historii Społeczno-Gospodarczej na UL ukazał się na łamach Rocznika Łódzkiego. W tym biograficznym od strony formy artykule przypomina autorka czytelnikowi wiele aktualnych do dziś dnia tez i inicjatyw prof. N. Gąsiorowskiej.

Niezmiernie ciekawe materiały bibliograficzne o prasie komunistycznej i komunizującej prezentuje Wiesława Kaszubina w artykule „Polska prasa komunistyczna i „komunizująca” w latach trzy-

dziestych”. Notki bibliograficzne 122 pism poprzedzone są informacją wprowadzającą w klimat w jakim te pisma powstawały i warunki w jakich były wydawane. Jeśli nawet w artykule można znaleźć pewne błędy (zrozumieliśmy zresztą i trudne do uniknięcia przy tego typu opracowaniu) to i tak jest to cenna pomoc dla badacza tego okresu dziejów.

Interesujący jest niewielki artykuł materiałowy Janiny Michowiczowej napisany w oparciu o wywiady przeprowadzone przez członków Koła Historyków przy XXX LO i byliymi więźniarkami z lat 1939—1945 „Więzienie przy ul. Gdańskiej (1939—1945) w świetle relacji byłych więźniarek”. Interesujący jest sam temat, jak i to, że jest on przykładem celowej i umiejętnej pracy Koła Historyków w szkole średniej.

Tom, zgodnie z tradycją swego układu, zawiera także dzieła recenzji i sprawozdań oraz kronikę.

Nie jest rzeczą ni obowiązkiem redakcji zapoznawać czytelnika z kłopotami jakie ma w swej pracy wydawca. Warto jednak na tym miejscu powiedzieć, że wydawca Rocznika, Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego od wielu już lat nie otrzymuje na wydawanie Rocznika ze strony władz centralnych przyswojonego grosza. Rocznik wydawany jest w oparciu o systematycznie udzielany zasiłek przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, o doraznie i niesystematycznie udzielane zasiłki z Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi i poczynając od bieżącego numeru, w oparciu o fundusz uzyskany ze składek członków wspierających, którymi jest szereg łódzkich zakładów przemysłowych i związków. Ta niepewność wpływów nie pozwala na planowe i systematyczne organizowanie pracy wydawniczej. Biorąc pod uwagę fakt, że „Rocznik Łódzki” jest najlepiej notowanym regionalnym periodykiem tego rodzaju (np. t. VI był wyróżniony przez „Poliptyk”) warto chyba apelować do władz miasta i województwa o zabezpieczenie finansowych podstaw egzystencji pisma. Do apelu takiego upoważnia dotychczasowy jego dorobek i wytrwałość redakcji pokonującej rozliczne przeszkody.

JOZEF ŚMIAŁOWSKI



ADAM NONAS

Księgarz — zawód stary i piękny

Wśród wielu jubileuszy, jakimi darzą nas obficie ostatnie lata, skromnego święta — 20-lecia księgarstwa państwowego — doczekali się również przedstawiciele tego tyłu pięknego, o starożytności i tradycji. Księgarstwo ma bowiem za sobą wielowiekową tradycję, niedawno obchodziło jubileusz 600-lecia. Akt erekcyjny Uniwersytetu Jagiellońskiego wymienia także prawa i przywileje różnych funkcjonariuszy uniwersyteckich, a między nimi stacjonariuszy, którzy dbali o przepisywanie manuskryptów i ksiąg, wypożyczali je studentom i pośredniczyli w ich sprzedaży. Spełniali więc rolę zarówno wypożyczalni, jak i sprzedawców ksiąg. Ta jedność zawodów utrzymywała się przez wieki — księgarz i wydawca były to pojęcia nierozdzielne.

Poczet wielkich księgarzy otwierają: Jan Haller, Florian Ungler, któremu zawdzięczamy pierwszą polską książkę drukowaną „Raj duszny”, Hieronim Wietor, a w następnych wiekach uzupełniają go Michał Gröll, Samuel Orgelbrand, Michał i Stanisław Arct, Goebel, hner i Wolff i wielu innych, nie mniej znamiennych. Trzeba tu jeszcze wspomnieć, że księgarstwem parali się również nasi wybitni pisarze, tacy jak Eliza Orzeszkowa, Józef Ignacy Kraszewski czy Adolf Dygasiński.

Różne koleje przechodził zawód księgarza, lecz dopiero w Polsce Ludowej ustabilizowała się i stale wznosiła jego ranga. Już od pierwszych chwil po odzyskaniu niepodległości księgarze wykazywali wielką aktywność. Powstają spółdzielcze i państwowe instytucje wydawnicze, rośnie także ilość prywatnych placówek księgarskich. Zasadniczą zmianę profilu organizacyjnego księgarstwa przynosi utworzenie jednolitego państwowego sieci księgarskiej. Następuje to 1 stycznia 1959 r., gdy powołane zostaje do życia Państwowe Przedsiębiorstwo „Dom Książki”. Następuje rozdział kompetencji wydawniczych i księgarskich. „Dom Książki” przejmuje księgarstwo instytucji wydawniczych oraz księgarstwo spółdzielcze. W Łodzi były wówczas 24 księgarnie, a w województwie 37. W większych miastach się one w małych, nie przystosowanych do tego typu pracy lokalach. Borykały się z trudnościami kadrowymi, finansowymi, transportowymi, z niedoborami w zakresie wyposażenia i zaopatrzenia. „Dom Książki” zlikwidował chaos panujący w rozmieszczeniu konkurujących ze sobą słabych placówek. Jednocześnie rozpoczęto uruchamianie księgarń we wszystkich miastach powiatowych i przystąpiono do wyposażenia państwowej sieci księgarskiej w nowoczesny i przystosowany do obecnych wymagań sprzęt księgarski.

Obecnie działają w Łodzi 42 księgarnie, zaś w województwie

51. Większość skupiona jest w śródmieściu, ale coraz więcej mieści się w pięknych lokalach w nowych osiedlach mieszkaniowych. Ostatnio otrzymały księgarnie dwie wielkie dzielnice: Osiedle Młodych i Teofilów. Stare księgarnie zmieniają swe oblicze — modernizuje się je i wprowadza nowoczesne formy sprzedaży, przede wszystkim samoobsługę. Pięknymi placówkami może się już także poszczycić wiele miast województwa — Piotrków, Radomsko, Sieradz, Łowicz.

Trzeba wspomnieć o bardzo ważnym zadaniu — upowszechnianiu książki na wsi. Poważnym sojusznikiem księgarzy w tej dziedzinie jest WZGS i jego kluby rolnika, stanowiące przedłużenie sieci księgarń na wsi. Województwo Łódzkie, dzięki harmonijnej współpracy „Domu Książki” i WZGS już po raz czwarty z rzędu zdobyło pierwsze miejsce w kraju w konkursie „Każdy klub rolnika punktem księgarskim”.

Kim jest księgarz, i co jest przedmiotem jego działalności? Charakterystyka zawodu księgarskiego zawarta w zarządzeniu dyrektora Centrali Księgarstwa tak to definiuje: „Przedmiotem działalności zawodowej księgarza jest organizowanie sprzedaży książek i innych wydawnictw oraz płyt gramofonowych. Jednocześnie księgarz prowadzi działalność w dziedzinie

popularyzacji książki i czytelnictwa, współpracując w tym zakresie z instytucjami kulturalno-oświatowymi i zainteresowanymi sprawami książki organizacjami społecznymi. Praca księgarza zatem łączy w sobie działalność handlową w sferze pośrednictwa między wydawcą a odbiorcą i działalność kulturalno-oświatową”.

Otóż to. Księgarze stanowili i stanowią wciąż potężną armię pracowników frontu ideologicznego — za ich bowiem pośrednictwem docierają do szerokiego kręgu społeczeństwa książki społeczno-polityczne, naukowo-techniczne, a także prezentujące dorobek wielkich pisarzy dawnych i współczesnych. Nie ma w kraju imprez kulturalnych, w których księgarze nie braliby udziału. Są oni inicjatorami i realizatorami wielkich akcji społecznych. Z drugiej strony wynagrodzenie księgarzy uzależnione jest od wykonania planu obrotu. A więc dylemat: czy księgarz to działacz kulturalny, czy handlowiec? Księgarz starając się pogodzić, jak mogą, obie te funkcje, mimo iż wymaga to ogromnego wysiłku nie zawsze proporcjonalnego do wynagrodzenia. Stąd też absolwenci szkół księgarskich często uciekają od wyuczonego zawodu, szukając atrakcyjniejszego i lepiej płatnego zajęcia. Problem kadr w księgarstwie pozostaje stale w centrum uwagi ZZ PKPiR, a także Stowarzyszenia Księgarzy Polskich. SKP inicjuje i przeprowadza akcje szkoleniowe, podejmuje prace nad wzbogaceniem teorii i praktyki księgarskiej, prowadzi badania historii księgarstwa, organizuje księgarskie wycieczki krajowe i zagraniczne, prowadzi kluby księgarskie, reprezentuje społeczność księgarską i broni praw zawodowych swych członków.

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	spektakli widzów proc.		
„Zemsta nietoperza”	1	1020	80
„Faust”	1	1260	100
„Jeziro Łabędzie”	1	1124	90
„Książ Igor”	1	990	78
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	2	1050	75
„Za siedmioma górami” (bajka)	4	2800	100
„Szkoła kobiet”	1	526	78
MAŁA SALA			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	2	300	75
„Faust i Zofia”	2	360	90
„Karys”, „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte”	1	150	75
POWSZECHNY			
„Boso, ale w ostrogach”	1	600	100
„Turniej z czarodziejem”	4	2400	90
„Ojcowie rodzą się w szafach”	1	600	90
JARACZA			
„Ania z Zielonego Wzgórza”	4	3720	100
7,15			
„O krasnoludkach i sierotce Marysi”	4	1680	100
„Jadzia-wdowa”	3	1260	100
OPERETKA			
„Skrzydlaty kochanek”	3	3164	60
„Czerwony kapturek”	2		
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	850	75

ELŻBIETA LUKASIEWICZ

Rekonosans w poszukiwaniu urody

Centrum miasta, a przecież cicho jak na odległym przedmieściu. Z daleka dobiega szum pracującej fabryki. Loskot narasta, dociera do szarego, zwalistego gmachu. Z koszmakowatego szyldu „Pielęgnacja nóg. Manicure. Pedicure. Fryzjerstwo damskie”, dowiadujemy się, że to już tu. Z jednej strony wejścia tradycyjne lustro, na którym mijające pory roku (jak ten czas leci!) kreślą bajeczne mozaiki, po drugiej tablica — „Gabinet kosmetyczny Zakładów imienia Dubois” i zachęcająca: „Dla pracowników Zakładu 20—50 proc. zniżki!”.

Jest to jeden z czterech założonych przed sześciu laty przyfa-

brycznych gabinetów kosmetycznych. Zważywszy przemysłowy charakter naszego miasta i wielką ilość znajdujących się tu zakładów produkcyjnych, powołanie czterech placówek tego typu mogło być tylko eksperymencem lub nieporozumieniem. Dalecy jesteśmy od idealizmu, ale proporcja 4:44 była anegdotyczna. Jak potoczyły się dalsze koleje tych unikalnych „fabryk robotniczej piękności”?

Pierwszy z gabinetów założony przy Zakładach gen. Waltera prosperuje wprawdzie znakomicie, ale nie jest już gabinetem zakładowym, nie jest już w ogóle placówką państwową, lecz prywatną. Na tzw. własnym rozrachunku. Inny,

przy fabryce Marchlewskiego, mimo dogodnego położenia i pięknego nowoczesnego lokalu został w ogóle zlikwidowany z braku frekwencji. Trzeci — placówka Zakładów imienia Duracza vegetuje tylko dzięki szczęśliwemu położeniu przy ruchliwej ulicy Nowotki. Położenie i odległość od macierzystej fabryki nadały mu od początku charakter jeszcze jednej placówki usługowej dla mieszkańców Łodzi.

I tak oto wchodzę do jedynego ostającego się jeszcze przyzakładowego gabinetu kosmetycznego, ostatniego bastionu robotniczej urody. Ciasno, to pierwsze wrażenie — dwa małe pomieszczenia zagracone setką kosmetyczno-fryzjerskich utensyliów; atmosfera kameralna, nieledwie intymna. Tu panienka czesze bujny włos, błędząc po sprzętach niewidzącym spojrzeniem, inna melancholijnie piluje paznokcie. Dwie pozostałe, gwarząc półgłosem, pochylają się nad jedyną w zakładzie klientką.

Kierowniczka, zadowolona, że coś się nareszcie dzieje, skwapli-

wie opowiada historię unikalnego zakładu:

— Nasz gabinet powstał w 1963 roku. Na wniosek Rady Zakładowej Dubois. Miał to być prezent na Dzień Kobiet, dla pracowniczki fabryki. Ładny gest — uśmiecha się — to prawda. Myśleliśmy, że spotka się z entuzjazmem. Ale nie... widzi pani, gabinet jest pusty. Od początku zresztą tak było. Z Dubois zaglądają tu bardzo rzadko. Z Farnadu, Elesteru, to dwa sąsiednie zakłady — też nieczęsto. Gdyby nie przygodne klientki „z miasta”, trzeba byłoby chyba zwinąć cały kram. Bo by się zakładowi nie opłaciło. A przecież i położenie mamy niezłe, bezpośrednio przy fabryce.

— Rodzaje usług? — kierowniczka z dumą odpowiada:

— Mogę powiedzieć, że asortyment mamy dość szeroki. Jest przecież i niezłe wyposażenie i dość liczny personel. Najczęstsze są usługi fryzjerskie: czesanie, farbowanie włosów, „trwała”. Albo przy ciemnianie brwi i rzęs, rzadziej manicure. I to wszystko... Bo w

środowisku robotniczym na temat pielęgnacji urody pokutuje jeszcze wiele uprzedzeń i przesądów. Jedno z nich, to przekonanie o szkodliwości maseczek kosmetycznych. A przecież skóry pracy w przedziałni czyszczenie skóry twarzy co 6 tygodni jest naprawdę konieczne. Gorąco, pył, często ręce natarte oliwą wędrują do twarzy. I zanieczyszczenie gotowe. Makijaż pracownice też nie zmienił się od kilkadziesiąt lat: przyciemnione, wyskubane brwi, z reguły źle dobrana pomadka do ust, zbyt jasny puder. Świadczy to chyba o przestarzałych poglądach na urodę w ogóle — robotnicze wstydzą się spo tykać w miejscu „poprawiania urody”, w ich świadomości panuje jeszcze przesąd o wyższości niższym nie korygowanej surowej urody.

II.

Tkalnie. Przeraziłwy hałas, loskot czelonek, ogłuszający zgrzyt krosien. W ogromnej hali, w loskocie i milczeniu kobiety pochylają się

Panie za kamerą

Wyświetlany na naszych ekranach film Dunki, Mai Zetterling „Doktor Glas” daje okazję do zadumy nad sztuką tworzoną przez kobiety. Nie chodzi przy tym o programową niejako niechęć do mężczyzny, którą ten film wyraża tak silnie i tak okrutnie. Zresztą na tę niechęć zwrócił moją uwagę towarzyszący mi na projekcji mężczyzna, do żywego dotknięty monotony zestawieniem — zestawieniem, które powraca jak refren — obrazu porodu i obrazu pisuaru, od którego odwraca się pan, porządkując swą garderobę. Fotograficzna umowność, polegająca na zastrzeżeniu granicy między obrazem negatywowym i pozytywowym pozwala Mai Zetterling nie szanować dobrego smaku, sens zestawienia pozostaje jednak dotkliwie jednoznaczny. Im putuje się nam, orzekł mój towarzysz, że ta codzienna czynność, niczym więcej, kwitujemy spowodowany przez nas ból kobiety.

Nie chodzi więc o niechęć, czy nawet nienawiść do mężczyzny w gruncie rzeczy będącą w sztuce kobiet czymś wyjątkowym. Owszem, przykłady, których dostarcza twórczość kobiet, od liryków Safony, przez listy panny de Lespinasse, do miniatury wierszy-biblotów Marii Jasnorzewskiej Pawlikowskiej, nie przeczą, że panowie sprawują cierpienia paniom. Ale to przyznanie się nie prowadzi do nienawiści. Świadczy po prostu, że panowie stanowią — prawdą, że czasem gorzko — treść życia pań.

Kobiety pełne są miłości. Do mężczyzny i do rzeczy. W żadnym dziele artystycznym, nie będącym tworem kobiety i bez względu na uprawianą dziedzinę, malarstwo, poezję, film wreszcie — nie ma tej wrażliwości na kształt, barwę, odcień światła, niemal na zapach i smak. I opromienienia rzeczy uczułem tym czulszym, im mocniej hałmują je rygory artystyczne.

W dziedzinie filmu kobiety-reżyserki pierwsze zdały sobie sprawę z przyjemności zmysłowej, jaką dać może to nowe twórczo — za równo w stadium obróbki, w stadium pracy nad filmem, jak i potem w trakcie odbioru filmu przez widza. Kobiety nie występują licznie w tym zawodzie, wystarcza palców ręki, żeby je wymienić, dla rozpiętości czasu dzieł też tworzą filmy różnych kobiet, ich po stawa jednak, tematycznie i formalnie, na ogół się nie zmienia.

Panie zgodne są co do tego, że zyskały z filmem narzędzie wypowiedzi, dzięki któremu kobiecie sensualizm rozkwitać może w pełni. Filmowa pionierka, Germaine Dulac, w swym utworze bodaj najwybitniejszym, w powstałej w roku 1923 (więcej jeszcze w okresie niemym) „Uśmiechniętej pani Beudet” powraca do flaubertowskiego wątku kobiety nieszczęśliwej, gdyż nie kochającej męża. Obudowuje swój film teorią o pokrewieństwie między filmem i muzyką, przepływ obrazów może i powinien według niej kojarzyć się z melodią i budzić wzruszenia takie, jak melodia. Germaine Dulac jest mistrzynią nastroju. A wrazenie śpiewu osiąga nie tylko przez montaż obra-

zów, czas trwania i kolejność ujęć. U Germaine Dulac odzywa się każdy obraz z osobna, ma swoją arię ciężka secesyjna szafa — i zadeszczona szyba, przez którą wzrokiem wrywa się na świat smutno uśmiechnięta pani Beudet. Przedmiot nie tyle otacza ją panią Beudet, co ją obejmują. Ten sam ścisły związek człowieka z przedmiotami odkrywamy po prawie półwieczu w „Doktorze Glasie” Mai Zetterling. Tutaj, choć nie śpiewają, jak że są wymowne te komody i krzesła w mieszkaniu Glasa. Wylaniają się z mroku modelowane światłem z taką wrażliwością i znanstwem, że zdają się dotykalne. Naturalnie nie ma nic do rzeczy, jest przypadek kowal zbieżnością to, że oba filmy rozgrywają się w tłoku wnętrza secesyjnych.

Nie mężczyzna, ale kobieta, Maya Deren, opracowała teorię obrazu fotograficznego, stawiającą znak równania między fotograficzną odbitką, a sfotografowanym przedmiotem. Rozumowanie Mai Deren biegnie następująco: skoro proces fotograficzny to „rodzaj zakłętą kregu, do którego człowiek-artysta nie ma wstępu — obiekt bowiem sam tworzy swój obraz działaniem swego światła na światłoczuły materiał, zdjęcie nie będzie udawać obiektu; będzie natomiast, jak to nazwała, „postacią samej rzeczywistości”.

Mogły zatem panie w oparciu o poglądy Mai Deren, lecz i bez nich — teoria Mai Deren opublikowana została w roku 1960, autorka zaś działała w odosobnieniu, raczej na marginesie niż w centrum produkcji filmowej — mogły zatem panie manipulować zdjęciami z tą samą łatwością, z jaką manipulują w życiu przedmiotami codziennego użytku. Mogły je dowolnie ustawiać i zestawiać, pokazywać niby w wykrzywającym złośliwym lustrze, ozdabiać i nawet pieścić. Sama Maya Deren pasjonowała się w pewnym okresie wprawy w wyrażaniu zdejść przyspieszonych (ruch zwolniony na ekranie). Lubiała nakreślić w ten sposób przez siebie obraz kobiecej głowy, która chyli się to w prawo, to w lewo i której wiatr rozwiewa włosy. Analizowała — w piśmie — ten obraz z oziębłością i dystansem badacza-estetyka. Na ekranie nieodparcie przypominał prostą czynność czesania włosów po woli, w zamysleniu.

Wiatr stawał się posłusznym grzebieniem w rękach Mai Deren, podobnie użytkowo i przedmiotowo traktują one — reżyserki filmowe — w zasadzie wszystko. Niewykluczone, iż dzieje się tak dlatego, że w życiu ręce kobiet stale są zajęte, ich zmysł dotyka — opuszek palców — nieustannie atakowany tysiącem bodźców. Kobieta układa kwiaty, zagniata ciasto, myje dziecko — te sekwencje pracujących rak, wzięta ze „Szczęścia” Agnes Vardy, można by odczytywać jako hold, który kobieta składa kobiecie, żona — żonie, gdyby nie brak patosu, z jakim została zrobiona.

Brak patosu stanowi cechę szczególną „Szczęścia” i innych, dorównujących mu artystycznie utworów kobiet (moim zdaniem „Szczęście” należy do najpiękniejszych dzieł ko-

biecych, jakie kiedykolwiek powstały). Szczególną, ponieważ metamorfoza, jakiej ulegają w nim przedmioty, określona przez cel, któremu służą, niekiedy prosi się o patos... Potrawa, którą matka podaje dziecku, przeistacza się w środek, mający podtrzymać życie. Zaś moment spełnienia, który może być momentem poczęcia, owiewa trwoga, una oczniająca istnienie strony odwrotnej, śmierci. Osobliwy stop zmysłowości i metafizyki, potrzeb biologów i ich ogólnego, ponadczasowego znaczenia, dokonuje się w dziełach kobiet z zadziwiającą naturalnością. Odbija się niewymusznie, chciałoby się powiedzieć samo przez się, wzorowany być może na praktyce i doświadczeniu życiowym.

Niewątpliwie kobieca twórczość artystyczna — w filmie, aż do „Szczęścia” Agnes Vardy, była od bicem roli przypisywanej kobiecie w społeczeństwie. Co ważniejsze, odzwierciedlała zgodę auterek na tę rolę. Społeczeństwo wymagało od kobiety miłości: do mężczyzny, do dziecka, do sprzętu zapewniającego wygodę. Utwory kobiet odpowiadały na zamówienie. Stąd też, z miłości i z akceptacji wyznaczonych kobiecie zadań, brało się piękno dzieł i umiejętność metamorfozy, bez której zapewne mielibyśmy do czynienia jedynie z misterną dekoracyjnością. Ciekawe przy tym, że akceptacja zdawała się rozciągać na dół i niedole, dotyczyć zarówno radości, jak i cierpienia kondycji kobiecej.

Przypuszczalnie — rzecz jasna uproszczone i szkiełkowe, jak cały nieniejszy wywód, że estetyka utworów kobiet wyrasta z przyjęcia archetypu kobiety, żony i matki, w postaci najidealniejszej z idealnych, potwierdza się również reboirs. Wartości estetyczne, tradycyjnie łączące z wrażliwością kobiecą, zdają się zanikać, czy ostrożniej, są tuszowane, wraz ze zmianami światłopłgadu. W archetypu najpierw się wapi, potem się go odrzuca. Czeszka Vera Chytilova zrywa z charakterystyczną monotematycznością, jej film zatytułowany „O czymś innym” ukazuje dwa portrety obcych sobie kobiet, przeciwstawiając staro modną karierę żony, którą robi jedna, na nowoczesnej karierze w sporcie drugiej. Lecz obie kobiety są jedna kowo niezadowolone i podobnie autorka nie decyduje się zająć jednoznacznego stanowiska. Decyduje się natomiast na „rzecz” w twórczości filmowej kobiet bezprecedensową. Kręci mianowicie „O czymś innym” w manierze dokumentalnej z założenia, jak wiadomo, dalekiej od piękności (przez wkomponowanie w piękny układ przedmiotów. Obraz nie staje się jednak wskutek tego obiektywny: kobieca wrażliwość widzenia Chytilovej służy wydobyciu ntu pospolitej brzydoty. O ile w wątku tematycznym, w problemie filmu, znać wahanie, o tyle w warstwie obrazowej uwidacznia się w miejsce dotychczasowego zachwytu czy przyjaźni do rzeczy — wstręt.

Z „Doktorem Glasem” Mai Zetterling sprawa wydaje się jeszcze gruntowniej powikłana. Nie dajmy się zwieść pięknym pozorom, które wskazują, że centralną postacią opowiadania jest Glas. Jeśli dobrze zrozumieliśmy film, chodzi w nim nie o co innego, tylko o kwestię kobiecej. Strumień świadomości Glasa fa scynuje nieszczęsną kobietą, narzędzie rozkoszy odradzającego hipokryty-męża. Protest Glasa wobec losu, który musi znieść pani pastorka, staje się motywem jego działania.

Na dodatek sam Glas nie jest wolny od, powiedzmy, więcej niż życzliwych uczuć do pani pastorkowej... Sprowadzałyby to całe opowiadanie do wymiarów romansu nie najwyższej próby — czemu jednak, jak sądzę, przeszkadzają dwie przynajmniej rzeczy.

Pierwsza to duch Simone de Beauvoir patronujący z powodzeniem temu duńskiemu dziełu. Przypomnijmy: Simone de Beauvoir dostarcza nieprzewidywalną jej zdaniem sprzeczność między pojęciami „kobiecości” i „człowieczeństwa”, wiążąc — z grubszą — kobietę z Naturą, mężczyzną zaś — z Umysłem („Druga pleć”). Kto, wie, czy uczennica, Zetterling, nie przerosła mistrzyni, Beauvoir, w odrzucie do tego, do czego natura powołała kobietę. Po drugie — wirtuozeria, z jaką „Doktor Glas” został zrobiony. Wy daje się, że odżyła w tym filmie cała tradycja twórczości filmowej kobiet — tradycja pięknych układów (Agnes Varda), płynnego, niemal śpiewnego montażu (Germaine Dulac), dotykającej „przedmiotowości” obrazu (Maya Deren). We mnie jednak wizualna feeria „Doktora Gla-

sa” została niedosyt. Otóż, wiele znaczny treściowo, „Doktor Glas” jest również ambiwalentny uczuciowo. Wieloznaczność treści służy sztuce, gdyż dostarcza pożytki dla myśli, ambiwalencja uczuć chyba mniej wychodzi na zdrowie. Powiem tak: poprzednie dzieła kobiet zdawały się tchnąć spokojem i harmonią. Tłumaczyłam to sobie jednolitością postawy uczuciowej, zgodą tworzących kobiet na archetyp, czy jeśli wolicie, naturę. Nie było tam omyłek w rozważaniu, co dobre, a co złe, utwory cechowała nie jak dziś rezonerska, lecz jakaś naturalna moralność. Dzięki temu miały wartość czegoś powszechnie zrozumiałego i bliskiego, a przez to, że uczuciem nadrzędnym była miłość — także kojącego. Zapewne „Doktor Glas” dostarcza rozrywki bardziej zróżnicowanej i ciekawszej. Nie ociera się o ekliwiczność, jednakże powiedziałabym i to, że harmonię wewnętrzną zastępuje ładem formalnym, pochodzącym z zewnątrz, moralnie zaś... Opowiada o lekarzu, który nawet w imię wyzwolenia kobiet nie powinien być popełniać zbrodni.

25-lecie Liceum Sztuk Plastycznych

Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi nie jest co prawda tak popularne jak „Szkoła Kenara” w Zakopanem, niemniej jest to ważna dla naszego miasta placówka szkolnictwa artystycznego. Jak większość szkół również obchodzi swoje święta. Warto dodać, że ta młoda szkoła jest równocześnie najstarszą szkołą artystyczną w Łodzi. Pod tym względem miasto nasze nie miało przedtem żadnych tradycji. Tym bardziej więc cenna była decyzja jaką w dwa dni po wyzwoleniu Łodzi podjęły ówczesne władze miejskie.

W lutym 1945 r. szkoła ogłosiła zapisy. Zgłaszają się natychmiast osoby w wieku od 16 do 40 lat. W pierwszym roku szkolnym liceum liczy 130 uczniów. Szkoła przyjmuje nazwę: Państwowa Szkoła Przemysłu Artystycznego. W pierwszym rzędzie kształcą dekoratorów, grafików użytkowych, introligatorów, tkaczy-artystów itp. Na czele 12-osobowego grona nauczycielskiego stanął dyrektor Stanisław Byrski. Potem długoletnim dyrektorem był Leon Machowski, następnie Ludwik Tyrowicz. Spośród grona pedagogicznego należy wymienić również profesora Mieczysława Głowackiego, obecnego rektora PWSSP, prof. Romana Modzelewskiego, i prof. Mieczysława Szatkowskiego. Uczniem tej szkoły był m. in. Mieczysław Wiśniewski, dzisiejszy scenograf Teatru im. Jaracza. Uczyła w liceum także Janina Dębowska. Najstarszym nauczycielem pracującym do dziś jest Józef Osliński.

Koleje szkoły były zmienne i dość burzliwe. Zmieniały się jej nazwy, programy nauczania, profile i kierunki kształcenia, zmieniali się dyrektorzy i nauczyciele. Wymieniać się również oczywiście wychowankowie, lecz w sumie rola szkoły wzrastała, zwiększała swą rangę. Wychowało się w niej i wykształciło dotychczas 770 osób. 14 lutego br. obecna dyrekcja liceum organizuje zjazd wszystkich wychowanków. W budynku przy ul. Próchnika 43, spotkają się na wspólnym obiedzie pracownicy wyższych uczelni, projektanci przemysłowi, pracownicy filmu i teatrów, dekoratorzy, słowem twórcy i współtwórcy kultury, ci wszyscy, którzy czerpali wiedzę z tego samego źródła.

W ostatnim okresie charakter uczelni znacznie się zmienił i ustabilizował. Liceum kształci dziś wyłącznie dekoratorów. Dekoracje klubów i świetlic, odświętne szaty miasta, wystawy sklepowe na Piotrkowskiej — to właśnie owoce pracy absolwentów Liceum Sztuk Plastycznych. Oni czynią nasze miasto barwniejszym i radośniejszym.

W Liceum uczy się prawie 300 młodych, zdolnych, utalentowanych ludzi. Młodzież wyróżnia się pracowitością i społeczną postawą. Jest to niewątpliwie duża zasługa grona pedagogicznego, jak również komitetu rodzicielskiego, który należy do najbardziej czynnych na terenie Łodzi. Patronat sprawuje nad szkołą znany zakład „Gumówka”. Nie jest to tylko formalność, lecz rzeczywista duża pomoc. Robotnicy „Gumówki” zbudowali szatnię, ponadto niosą zawsze doraźną pomoc w potrzebie. Ostatnio zaś z okazji jubileuszu, postanowili ufundować piękny sztandar. Uczniowie liceum z kolei dbają o wygląd estetyczny zakładu — dekorują hale fabryczne, urządzają wystawy, profesorowie szkoły wygłaszają na terenie zakładów prelekcje o sztuce. Kontakty między szkołą a zakładem, są serdeczne, trwałe i pożyteczne dla obu stron.

Z okazji jubileuszu, który szkoła postanowiła obchodzić bardzo uroczystie, życzymy pedagogom, uczniom i absolwentom, zadowolenia z dobrze spełnianych obowiązków. K.B.

nad maszynami. Kretonowe wyplu wiałe sukienki, na głowach dla ochrony włosów — chusteczki. Twarze ścigające, skupione, oczy śledzą uważnie pracę maszyny.

Napotykam rząd zmęczonych twarzy, o cerach chropawych i szarych. Matowe, zniszczone włosy, oczy zacerwienione od pyłu i zmęczenia. Ręce zaniedbane i zniszczone. A przecież są to na ogół młode kobiety — ta w zóltej chusteczce ma pewnie niewiele ponad 30 lat. Brak przednich zębów czyni ją o 10 lat starszą.

— Czy wiedzą panie o istnieniu przyzakładowego gabinetu kosmetycznego? — pytam. Popatrują po sobie z niepewnością i zdziwieniem. I owszem, wiedzą. Podobno jest taki. — Tu gdzieś niedaleko — dodaje mizerna blondynka.

Czy korzystają panie z jego usług?

Chwila milczenia, twarze zmieniają się, są teraz ironiczne i gorzkie.

— Proszę pani, mówi ta zamaszta — kto by tam miał czas? Po pracy leć do kolejki, wystój się, nauzeraj. Wraca człowiek zmordowany do domu i trzeba gotować obiad. Potem a to przepierka a to co innego. Gdzie by tam mieć czas na takie fidrygalki.

— A i pieniądze szkoda — mówi inna. — Bo jak jakieś święto to co innego. Człowiek się i ucześnie i odszykuje. Zaraz inaczej. Ale na co dzień i to nie ma potrzeby. Szkoda czasu i pieniędzy.

— A niższa? — pytam. — Dla pracownic Dubois obowiązującej niżka do 50 proc. Nie są to więc chyba sumy niedostępne dla przeciętnej zarabiającej kobiety.

— A tam, pani, każdego 5-ciu złotych szkoda.

— Ja to bym pieniądze i znalazła, ale czas to już nie bardzo. Małe dziecko a i mój mąż taki wymagający... dodaje inna. Czasem w lato, to tak. Ale w zimie głowa w chusteczce to i tak nie widać, no nie?

— Ja tam nie pójde, bo po co — pana Boga poprawiać?

— Fryzjery, manicure, maseczki, jakieś nowomodne wymysły, tylko psują urodę — dodaje jeszcze inna.

— O, jak pani nie masz potrzeby wyglądać jak człowiek, to nie mów pani za kogo. Ja to bym nawet i poszła, żeby tak był otwarty od 6-tej, a nie od 7-mej. Rano to zawsze więcej czasu...

Rodzaj wykonywanej pracy zmusza robotnice do 8-godzinnego, ustawicznego chodzenia. Mnożą się przypadki rozmaitych schorzeń nóg, żylaki są tu przypadłością powszechną.

— Żylaki? — popatrz pani — pracownica pokazuje okaleczoną nogę. Każda jedna to u nas ma. Musowo. Cały czas latanie, to i żylaki są. Dlaczego nie idę do lekarza? — komik z pani, siędźcie, jak już naprawdę coś jest, ale tak... Masaże? — pewnie że by się przydały, albo i pończochy przeciżylakowe, ale to chyba jeszcze nieprędko.

Pewnie nieprędko. Na zebraaniach rady zakładowej kilkakrotnie podejmowano projekt poszerzenia usług gabinetu o fizjoterapeutykę. Jak zwykle sprawa utknęła na etapie funduszu. Nie znaleziono pieniędzy na realizację tego nie tyle już sezonowego, ile koniecznego przedsięwzięcia. A chorych nóg coraz więcej i większa absencja w zakładzie.

III.

8 marca 1963 roku uroczystie przekazano kobietom z Dubois gabinet kosmetyczny. Po czym obie strony ogłosiły wzajemne desinteressement. Kobiety zignorowały gabinet, ten zaś nie pozostając dłużny, nie zainteresował się zupełnie swymi potencjalnymi klientkami. I wszystko pozostało po staremu. Wprawdzie kierowniczka gabinetu wspominała o ustawicznie malejącej frekwencji, zdawała się to czynić dla porządku raczej niż z autentycz-

nego zainteresowania. Nie chcą, to nie.

A może chcą. Tylko nie bardzo wiedzą jak, może długofalowa i umiejętna akcja propagacyjna przewyciężyłaby złą tradycję? Może seria pogadanek na temat konieczności pielęgnowania urody wykształciłaby nawyk estetyki nie tylko od święta, ale i w domu, pracy, na co dzień? Nawet minimum podstawowych wiadomości z zakresu kosmetyki zachowawczej i upiększającej uczynić może istotny wyłom w świadomości pracujących tu kobiet. Oczywiście jedna placówka nie zmieni radykalnie dzisiejszego stanu, lecz być może efektywna działalność tego jednego w swoim rodzaju zakładu stałaby się zdrowym i optymistycznym przykładem dla innych przedsiębiorstw? Spójrzmy, ile jest u nas kobiet otyłych, zaniedbanych i przedwcześnie postarzałych? Czy nie czas podjąć batalię o młodość i wdzięk, aby opinia o urodzie Polek nie była tylko frazesem?

„Ojcowie rodzą się w szafach”

„Ojcowie rodzą się w szafach” — jest to fakt, który oczywiście nikogo już dziś nie dziwi. Dziwi nas jedynie, że ojcowie tych „ojców”, czyli Giulio Scarnicci i Renzo Tarabusi uznali tę bądź co bądź ograną w librettach i zalatującą myszką bajeczkę, za „szalony” i odkrywczy pomysł, godny rozbudowania w komedii.

Tak to jest niekiedy w spółkach, wybiera się tzw. złoty środek, który okazuje się środkiem, ale nie złotym.

„Kawior i kaszankę”, sztukę tej samej spółki autorskiej, można było uznać za dobrą pozycję komediową. Utwór jest zabawny, jednolity w konwencji, pełen paradoksalnych scen i powiedzonek, wynikających z prawdopodobnych sytuacji. Walec poznawczy, wynikający ze współczesnego kolorytu obyczajowego, który przy okazji włoscy autorzy zawarli w sztuce, to jeszcze jeden niebagatelny pozytyw, o czym zresztą pisałem przy omawianiu premiery „Kawioru...”.

Utwór „Ojcowie rodzą się w szafach” niewiele z tych cech posiada. Zdarza się i to w najlepszej rodzinie. Dobry majstrówie, bo za takich należy uważać autorów, poszli na ułatwienia koncepcyjne. Oto nie znajdując autonomicznego klucza, organizującego komediowość utworu, oparli paradoksalność racjonalnego dialogu na irracjonalnych sytuacjach rodem z kiepskiej operetki.

Ta latanina nie ma cech komponowania stylistycznych zderzeń, co można by uznać za „wyższą szkołę” komediowej sztuki. Zmieszali się brak tezy, myślowej, która nawet w komedii jest ogromnie przydatna. Bo śmiech, to także refleksja, a śmiech towarzyszący utworowi scenicznemu, to co najmniej szereg połączonych refleksji, wynikających z kompozycji utworu.

Można oczywiście usłuchać się, gdy ktoś szuka kogoś we wspólnym łóżku i nie może go znaleźć, można również nad tym zapłakać — kwestia umowności. Umowność fabular

na „Ojców, którzy rodzą się w szafach” miała być prawdopodobnie uzasadnieniem do napisania paru dowcipnych kwestii, zilustrowania kilku uciecznych sytuacji i narysowania paru zabawnych postaci scenicznych.

Niewątpliwie dało by się wykroić sporo skeczów, gagów i dialogów z utworu spółki autorskiej, co świadczy o ich pomysłowości i umiejętnościach warsztatowych, które zbyt pośpiesznie chcieli wyekspluować w nie przygotowanym za myślą komediowym.

Nie zauważyłem, żeby pu-

bliczność była „serdecznie rozbawiona”, a że mimo wszystko śmiała się i nie była znużona, to przede wszystkim zasługa zespołu i utrzymanej w tempie reżyserii. Bez mała każda kwestia Czesława Przybyły w roli Giacomina, pracownika zakładu pogrzebowego, była zabawna i aktorsko interesująca. Krótkie kwestie Jerzego Przybylskiego (Rolando De Merlachi) dawały smakowite i prawdziwie komediowe doznania. Z temperamentem i po lotem grała również Halina Pawłowicz swą rolę Isolina, na rzeczonym Giacomo. Plastycznie

i sugestywnie w sensie komediowym potraktował postać Aureliana Bossi De Cortaza Tadeusz Sabara.

Poprawnie i konsekwentnie, lecz w nieco innej tonacji grał Zbigniew Niewczas jako Don Lotario Curatolo, Alicja Knas w roli Clelii, Antoni Zukowski jako profesor Gerolamo Luciani, zabawni byli Stanisław M. Kamiński (adwokat Pallotta), Brunon Bukowski (Beneditte) i Irena Malkiewicz (Eleonora Carenia).

„Ojcowie rodzą się w szafach” — Giulio Scarnicci i Renzo Tarabusi. Reżyseria — Roman Sykała, scenografia: Henri Poulain, Teatr Powszechny.

P.S.

Do recenzji pt. „Życie jest snem” („Odgłosy” nr 51/52, gruzień 1969 r.) wkradł się błąd. Rolę Clotalda, którą grał p. Wojciech Pilarski — przypisano również p. Januszowi Kłosińskiemu. P. Janusz Kłosiński grał rolę Clarina, blazna. Za pomyłkę redakcja serdecznie przeprasza.



Zbigniew Niewczas — Don Lotario, Halina Pawłowicz — Isolina, Tadeusz Sabara — Aureliano Bossi De Cortaz, w sztuce: „Ojcowie rodzą się w szafach”.

MAGICZNE SŁOWO: ZAPIS

Po cichu, niemal niepostrzeżenie telewizja polska przechodzi od ery programów nadawanych „na żywo” do ery zapisu. Dzieje się to bez dęcia w surmy z paru powodów. Po pierwsze dlatego, że jesteśmy w tym względzie zapóźnieni, choćby w porównaniu z naszymi sąsiadami za Odrą. Po wtóre zaś, dlatego, że poziom techniczny programów odtwarzanych z zapisu pozostawia jeszcze na ogół wiele do życzenia.

Nie będę tu szczegółowo omawiał różnych rodzajów rejestracji obrazu i dźwięku w telewizji. Wspomnę tylko, że istnieje metoda telerecordingu, polegająca na zapisie obrazu na „niemej” taśmie filmowej, w dźwięku — na taśmie magnetofonowej. Specjalna aparatura pozwala potem odczytywać obraz i dźwięk synchronicznie, to znaczy tak, by np. wypowiedziane przez wykonawcę słowa docierały do nas równocześnie z odpowiednim ruchem warg na ekranie. Nowszym systemem jest zapis na magnetowidzie, polegający na rejestracji i obrazu i dźwięku na taśmie magnetofonowej. Do celów utrwalenia programów telewizyjnych służą także takie urządzenia jak stu procentowe kamery filmowe, rejestrujące na taśmie filmowej obraz i obok niego na równoległe bieżące „ścieżce” — dźwięk. Wymienić także należy videomagnetofony, często bardzo lekkie, łatwo przenośne; te znowu dokonują zapisu obrazu i dźwięku na taśmie magnetofonowej.

Nie wyczerpałem w tym krótkim wylczeniu zagadnienia. Technika telewizyjna nie jest przecież moją specjalnością, a w dodatku każdy niemal rok przynosi nowe rozwiązania w tej dziedzinie. My, powtarzam, jesteśmy dość opóźnieni, ale w ostatnich latach staraliśmy się doścignąć standard światowy. Na razie z zaskoczeniem patrzemy na transmisje sportowe choćby z Jugosławii, czy Czechosłowacji, w których natychmiast po strzelonej bramce powtarza się wznowia sytuację z zapisu magnetycznego. U nas jeszcze tych możliwości nie ma.

Ale już coraz częściej oglądamy widowiska telewizyjne — sztuki teatralne, koncerty estradowe — z zapisu. W okresie świąt nadano prapremierę molierowskiego „Mieszczanina szlachcicem” z Bogumiłem Kobielią w roli pana Jourdain. Telewizyjny żywot nieodżałowanego aktora został w ten sposób przedłużony.

Nie wszystkie przykłady są tak drastyczne. Ale teatr telewizji, korzystający z usług aktorów zatrudnionych w różnych teatrach, miał zawsze wielkie trudności z synchronizowaniem wolnego czasu wykonawców. Plan prób był (i jest nadal w ośrodkach regionalnych nie dysponujących jeszcze zapisem) istną ekwilibrystyką. Obecnie można się uniezależnić w czasie, nagrywając widowisko telewizyjne choćby w nocy.

Uniknie się przy tym wielu przeszkód natury losowej. Wiem przypadkiem, że aktor grający jedną z głównych ról w nadanej niedawno komedii Armada Salacrou „Archipelag Lenoir” poddał się w ostatnich dniach poważnej operacji. Gdyby spektakl był — jak dawniej — transmitowany „na żywo”, operację trzeba byłoby odwołać. A tak aktor przechodzi w szpitalu okres rekonwalescencji, a zarejestrowane przedtem widowisko teatralne oglądaliśmy w planowanym terminie.

Według posiadanych przeze mnie informacji w telecentrum przy ul. Woronicza zapisuje się już teraz na taśmie widowiska z przena czeniem dla II programu telewizji. Program ten wystartować ma, jak wiemy, w październiku. A więc z wyprzedzeniem kilku kwartałów przygotowuje się pozycje programowe, wykorzystując luzu w eksploatacji bieżącej studia i aparatury. Nagrane pozycje programowe, będą cierpliwie czekały na półce, aż nadejdzie wyznaczony im moment.

Nie muszę dodać, że system zapisu daje większe możliwości kontroli, pozwala eliminować z anteny różne błędy i „sytki”, likwidując atmosferę zbędnej nerwowości, towarzyszącej zawsze programom emitowanym bezpośrednio na antenie.

Powtarzam więc, że niepostrzeżenie wchodzimy w nowy jakościowy etap rozwoju telewizji. Nie dzieje się to bezkolidyjnie. Jak dotąd faktura obrazu odtwarzanego z zapisu jest na naszych ekranach wyraźnie gorsza niż programów nadawanych tradycyjnie, „na żywo”. Jest to jednak cena, jaką z reguły płacić trzeba na początku, zanim opanuje się nową technikę. Oby trwało to jak najkrócej!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



FILM Jerzego Ziarnika „NOWY”, jest pełnometrażowym rozwinięciem zrealizowanej wcześniej, na zamówienie CRZZ, satyrycznej noweli fabularnej pt. „Nowy pracownik”, przedstawiającej perypetie młodego robotnika poprzedzające moment rozpoczęcia pracy w dużym zakładzie produkcyjnym. W „Nowym”, podjęty w nowym temacie, rozszerzył Ziarnik, dopisując szereg sytuacji i odnajdując nowe tereny obserwacji. Czy wystarczyło materiału na pełny film fabularny? Niestety, tak. To niestety nie zawiera żadnych aluzji do samego filmu, lecz do życia, które dostarczyło scenarzyście i reżyserowi J. Ziarnikowi pomysłów związanych z przedstawianym tematem.

Ta dość nietypowa historia powstania filmu pełnometrażowego na kanwie wcześniej już istniejącego zaciężyła na organizacji materiału fabularnego. „Nowy” jest bowiem zbiorem scenek

społeczno - obyczajowych, chwilami nabierających charakteru skeczów. Ich zestaw jest jednak tak celny, że wybaczymy realizatorowi pewne niedomogi dramatyczne filmu.

Scenki te ilustrują wszystkie etapy, które musi przeżyć młody towarzysz w drodze do samodzielnego miejsca pracy w wielkiej fabryce. Zgłoszenie się do pracy w dziale personalnym rozpoczyna nie kończąca się wędrówkę w poszukiwaniu i uzyskaniu potrzebnych za świadczeń, stempeli i podpisów. Wraz z bohaterem przechodzimy tę cierniową drogę i co krok znajdujemy potwierdzenie naszych własnych doświadczeń z batalii z wszechmocną panią Biurokracją, która wciąga nas w toń absurdalnych przepisów i związanych z nimi papierków. W filmie Ziarnika odnajdujemy nieuchronne ślady spustoszeń, jakie, między innymi poczyniła wtaśnię biurokracja, w układach międzylud-

skich stosunków, czyniąc je co najmniej niemożliwymi.

W „Nowym” realizatorzy odtwarzają atmosferę lekceważenia, obojętności i bezduszności, która towarzyszy całej drodze naszego bohatera, kroczącego wytrwale do celu.

„Nowy” Ziarnika jest autentycznym filmem interwencyjnym, atakującym negatywne przejawy życia społecznego. W interwencji tej posłużyli się realizatorzy komizmem, bo przecież jest to komedia ubrana w satyryczną szatę. Komedii ta jest przy tym bardzo smutna w chwili, gdy zdajemy sobie sprawę z tego, z czego tak szczerze się śmiejemy — my dziś obserwatorzy, jutro ofiary takich samych biurokratycznych mocy. Często też śmiejemy się sami z siebie.

Film Ziarnika został bardzo silnie osadzony w realiach naszej rzeczywistości, bawi głównie humorem sytuacyjnym, bogatą galerią świetnie podpatrz-

nycy typów ludzkich i znakomitym wprost, z żywej mowy wziętym dialogiem. Ta zresztą pozbawiająca autentyczność jest sukcesem Ziarnika, który remu w realizacji tego filmu na pewno pomogło doświadczenie dokumentalisty. Udało się też reżyserowi zaprosić do udziału w filmie całą niemal czołówkę polskich aktorów komediowych, spośród których podanie tylko nazwisk Kobieli, Pawlika, Dźwiewskiego czy Gołasa czyni krzywdę innym. Wśród wielu bardziej doświadczonych kolegów wykonał tytułową rolę, Damian Damięcki, radzi sobie znakomicie.

Traktując rzecz pół żartem pół serio, jak zresztą w sytuacji komediowej przystało, chciałoby się rzec, że winno się film Ziarnika wiązać do podstawowych lektur naszych obywateli. Przy da się nam wszystkim, jeśli ufać mistrzowi Ignacemu Krasickiemu, który głosił wiarę w wychowawczą siłę satyry.

EWA NURCZYŃSKA



RADZIECKI film „PRZECIW WRANGLOWI” nosi w oryginale tytuł „Służyli dwaj towarzysze”, a balladowy ton jest bardziej adekwatny dla treści, które niesie. Film ten jest tragikomedią z czasów wojny domowej i przedstawia jeden z ostatnich jej epizodów, kiedy to w 1920 roku Armia Czerwona stoczyła zwycięski bój z zepchniętymi na Krym wojskami białogwardyjskimi dowodzonymi przez generała Wrangla.

Film ten nie jest jednakże historyczną rekonstrukcją tych zdarzeń, lecz próbą odtworzenia atmosfery tamtych

czasów i przedstawienia pewnych wybranych, choć typowych charakterów ludzkich.

Film przedstawia dzieje pewnej dziwnej przyjaźni, którą zawarli z sobą w rewolucyjnych bojach ludzie, których tak wiele różniło, a połączyła wspólna idea. Niekrasow — student i, w czasie wojny, operator filmowy mimo woli i Kariakin — jego pomocnik, to bohaterowie tej opowieści. Spokojny, wrażliwy i pełen humanistycznych ideałów Niekrasow i porywczy, aktywny, lecz i nadgorliwy Kariakin przeżywają sytuacje, w których ich przyjaźń poddana zostanie próbom, ale i posłuży

kształtowaniu się nie tylko wewnętrznej, ale i rewolucyjnej dojrzałości. Ta jednostkowa historia wpisana została w panoramę historycznych wydarzeń. Niestety, nie z pełnym sukcesem.

Ambitny, i przynajmniej należy, niemal zupełnie na terenie filmu pionierski zamiar łączenia tonacji tragicznej i komedijnej dla odtworzenia rewolucyjnych zdarzeń, to rzecz w filmie „Przeciw Wranglowi” godna uwagi. W tej opowieści o dwu towarzyszach broni znajdujemy także ciekawe rysunki postaci z drugiej strony barykady.

Mimo dobrego pomysłu, kilku bardzo

dobrych scen i sytuacji, a także dobrej partii dialogowej, filmu reżysera J. Karielowa nie można uznać za sukces. Zadejdyowały o tym poważne niedomogi dramatyczne filmu a także niesprawność inscenizacyjna wielkich scen batalistycznych. Gdyby Karielow był debiutantem, moglibyśmy na podstawie pewnych scen filmu prorokować mu przyszłe sukcesy, a błędy filmu uznać za grzechy młodości. Niestety, reżyser ten debiutantem nie jest. Szkoda trochę tematu i pomysłu.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„COCO”

W pewnej wiosce w Oweronii we Francji żyła sobie piękna biedna sierotka. Ale pewnego razu zjawili się bogaty pan i zabrał dziewczynę do swego zamku. Piękna sierotka nudzi-

ła się jednak bardzo i postanowiła opuścić zamek. Wyjechała do Paryża i tam zaczęła żyć. Szyla, a szyla tak pięknie, że kobiety na całym świecie za pragnęły mieć stroje uszyte przez sierotkę. I wkrótce biedna sierotka stała się bardzo bogata i bardzo sławna, tak sławna, że jej bajeczny sukces życiowy opiewany jest dzisiaj na Broadwayu. W ten to mniej więcej sposób zacy na hamburski „Der Spiegel” omówienie musicalu pt. „Coco” wystawionego obecnie w New Yorker Mark Hellinger Theatre na Broadwayu, gdzie grana była początkowo, słynna potem na cały świat „My Fair Lady”.



Katharine Hepburn i Gabrielle Coco Chanel

Gabrielle Coco Chanel, bohaterka musicalu liczy sobie dziś 86 lat i jest wła-

ścielką znanego salonu mody na Rue Cambon w Paryżu. Kosztem 150 tysięcy dolarów odtworzono na nowojorskiej scenie, imitując do najdrobniejszego szczegółu, paryski salon Coco z całym przepychem strojów, kapeluszy, sukien,

ponował muzykę. W roli głównej występuje 60-letnia aktorka Katharine Hepburn, której tygodniowa gaża wynosi 14 tysięcy dolarów. Podobno Gabrielle Coco Chanel nie jest zachwycona odwarzaniem swej postaci przez Hepburn. „Hepburn jest o wiele za stara dla tej roli — powiedziała — a poza tym przypomina mi dragona”. Publiczność nowojorska przyjęła musical z wielkim zainteresowaniem. Bilety na przedstawienie wykupione są na wiele miesięcy naprzód. „Coco” będzie również sfilmowana. Firma „Paramount” wykupiła już prawa filmowania musicalu za trzy miliony dolarów.

WIELKA WYSTAWA MARCA CHAGALLA

W salach Grand Palais w Paryżu, na trzech piętrach została otwarta wielka, retrospektywna wystawa twórczości 82-letniego Marca Chagalla. Ściany ko-



Rysunek M. Chagalla

rytarzy i klatki schodowe również zostały wykorzystane dla ekspozycji dzieł.

Prócz malarstwa i grafiki pokazano także ceramikę. Wystawa obfawuje twórczość tego słynnego artysty na przestrzeni 60 lat jego działalności. Tygodnik „Les lettres françaises”, prowadzony przez Aragona przytulił w numerze noworocznym wiele materiału o Chagallu. Numer ma siedem reprodukcji kolorowych gwaszy Chagalla, zawiera wiersze Aragona dedykowane malarzowi i cztery wiersze samego Chagalla.

ZMARŁ JIRI TRNKA

Po długiej chorobie, zmarł w Pradze, w wieku lat 59 słynny twórca marionetek filmowych, Jiri Trnka. Karierę artystyczną rozpoczął w latach trzydziestych. Z początku był malarzem i grafikami. Wkrótce jednak za namową przyjaciela lalkarza, Trnka zajął się tworzeniem marionetek i one to przyniosły mu światową sławę. Staje się wkrótce specjalistą nie tylko od wykonywania wysoce artystycznych marionetek dla filmów, ale przez grę światła i cieni potrafi wywołać po mistrzowsku pożądany nastrój obrazu filmowego.

W ten sposób powstają słynne filmy Trnki jak: w roku 1949 „Słowik cesarza Chin”, w roku 1950 „Książka Bayaya”, w następnych latach kręcił filmy lalkowe na podstawie starych legend czeskich, a następnie „Sen nocy letniej”, „Dzielnego wojaka Szwajk”, „Babcia cybernetyka” i inne.

MOSKIEWSKI TEATR WIELKI W PARYŻU

Ponad miesiąc będą trwały spektakle w Palais Garnier grupy Teatru Wielkiego z Moskwy. Prasa paryska poświęca temu ważnemu wydarzeniu kulturalnemu wiele miejsca omawiając zarówno poszczególne

przedstawienia jak i różne problemy tego teatru. I tak dowiadujemy się m. in., że Teatr Wielki w Moskwie zatrudnia ok. 3 tysięcy osób w tym 1.000 artystów, z czego 200 muzyków, 90 solistów, 250 tancerzy i 200 chórzystów. Wszystkie ważniejsze role grane są przez ludzi młodych, których przeciętny wiek wynosi 33 lata, niektórzy z artystów



Galina Wiszniewska przed występem w roli Tatiany w „Eugeniuszu Onieginie”.

nie przekroczyli 27 lat. Teatr Wielki posiada największą na świecie scenę. Rekrutacja do zespołu Teatru Wielkiego odbywa się poprzez konserwatoria i szkoły baletowe, czasem artyści przychodzą z ośrodków teatralnych całego kraju, kiedy indziej pojawiają

się wybitne talenty z zupełnie innych zawodów. Są więc w zespole Teatru Wielkiego tancerze lub śpiewacy, którzy uprzednio uprawiali zawód inżyniera, lekarza czy architekta.

Do Paryża przybyło tylko 400 osób, a to chóry, orkiestra i część baletu. Ekipa przyjechała z Moskwy do Paryża dwoma samolotami, dekoracje zaś i stroje teatralne przybyły z Rygi do Hawru statkiem, a stąd specjalnym pociągiem do Paryża. Zespół da w sumie 35 spektakli. Grane są: „Borys Godunow” i „Chowańszczyzna” Mussorgskiego, „Eugeniusz Oniegin” i „Dama pikowa” Czajkowskiego oraz „Książka Igor” Borodina. W czasie kiedy zespół Teatru Wielkiego daje występy w Paryżu, w Związku Radzieckim przebywa zespół baletowy Opery Paryskiej. Po spektaklach w Leningradzie zespół występuje w Moskwie na deskach scenicznych Teatru Wielkiego.

IONESCO LAUREATEM

Eugene Ionesco otrzymał francuska państwową Wielką Nagrodę Teatralną. Jest to nowa nagroda przyznawana po raz pierwszy.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”: Andrzej Makowiecki — My we dwóch ♦ Co z tą architekturą? — rozmowa z Janem Michalewiczem ♦ Józef H. Wiśniewski — Wizytówka Polservice ♦ Kandydatki na „Siłaczki” ♦ Inżynier z Darłowa ♦ Felietony ♦ Recenzje ♦ Nowela kryminalna.

od niedzieli
do niedzieli

Esperanto czyli most ponad granicami

JEZYK GENIALNIE PROSTY — SZESNĄSTOLETNIEGO — NIE ZAMIAST LEŻEĆ OBOK — WYJŚCIE POZA OPŁÓTKI — NAUKA INTERNACJONALIZMU

Przeciętny Polak wie co to jest esperanto, żeby jednak uniknąć nieporozumień przypomnieć mały cytałek z encyklopedii: „Język międzynarodowy utworzony przez Ludwika Zamenhafa — pierwszy podręcznik ukazał się w roku 1887”. Na tytułowej karcie owej pierwszej esperanckiej książki widniały słowa: „aby język stał się powszechnym nie wystarczy nazwać go takim”.

Mineły od tamtej chwili 83 lata — język esperanto rozpowszechnił się, rozprzestrzenił na wszystkie kontynenty, mówi dziś tym językiem około dwu milionów ludzi, ale... powszechnym nie jest. A chyba szkoda, bo jest to język genialnie prosty, gramatyka — zmorena wszystkich uczących się obcych języków — w wypadku esperanta sprowadza się do 16 reguł. Można go błęgie opanować w ciągu 8 miesięcy. Esperanto zresztą zdało egzamin użyteczności — było przecież ponad 700 różnych prób tworzenia sztucznych języków

— jeden esperanto wytrzymał próbę czasu. Gdyby więc oficjalnie wprowadzić do „rodziny” języków międzynarodowych konferencji, taegów itp. — obok angielskiego, rosyjskiego czy francuskiego — jego kariera byłaby z pewnością błyskawiczna. Wiele zresztą w tym względzie się robi. Na przykład we Włoszech przygotowywana jest ustawa parlamentarna o nauce esperanta w szkołach. Szwecja wystąpiła na forum UNESCO o powołanie komisji ekspertów, celem opracowania wniosków co do szerokiego, oficjalnego wprowadzenia esperanta do kontaktów międzynarodowych. Coraz szerzej esperanto wkracza do szkół wszystkich szczebli w wielu krajach świata. M. in. w Polsce w blisko 100 szkołach młodzież uczy się esperanta — opracowywany jest zresztą program etapowego wprowadzenia esperanta do coraz większej ilości szkół. Wzrasta więc zainteresowanie tym sprawnym i sprawdzonym instrumen-

tem zbliżenia między ludźmi różnych ras i krajów. Esperanto ocala bowiem bariery językowe w sposób absolutny.

W Polsce owo zainteresowanie ma charakter także instytucjonalny. Na światowym kongresie esperantystów w Helsinkach osiągnięcia PZE i Ministerstwa Oświaty potraktowano jako wzorcowe dla innych krajów.

Tyle ogólnych informacji. Ale tak prywatnie — może ktoś zapyta — po co mi znajomość języka bez kraju, bez historii, bez wielkiej literatury? Pytania takie często się stawia, ale polegają one na nieporozumieniu. Żadna wielka literatura nie powstaje w ciągu 80 lat — zresztą nie dla dzieł literackich stworzono ten język. Powstał on dla ułatwienia międzynarodowych kontaktów — jest mostem między krajami, więc nie może mieć swego kraju. W esperanto można mówić z Anglikiem i Japończykiem, z Niemcem i Włochem, z Arabem i Turkiem, nie znając sześciu języków, lecz tylko ten jeden, jedyny. Wartość języka mierzy się jego przydatnością do celów jakim ma służyć. Esperanto ma służyć zbliżeniu narodów, jest mostem nad językowy mi barierami i temu celowi służyć może (i służy) doskonale. Nie może więc być argumentem przeciwko esperanto fakt, że wole „Trzech Budrysów” Mickiewicza po polsku niż po esperanku. Napisałem „Ja” i tu też jest klucz do skomplikowanej sprawy, polegającej na nieporozumieniu. Często się uważa, że esperanto jest w jakiejś opozycji do ję-

zyków narodowych, że je eliminuje. Nic bliździejszego! Esperanto nie proponuje swego istnienia zamiast lecz obok. Ja oczywiście wole polską literaturę po polsku, bo mam dostęp do oryginału, ale te miliony innych ludzi? Esperanto jest tu idealnym wyjściem poza własne opłotki — wyjściem nie tylko w obszar literatury niemieckiej czy francuskiej, ale całego świata. Całego świata — przy pomocy tylko jednego języka!

Wspomniałem „Trzech Budrysów”, żeby więc dać próbkę esperanta zacytuję pierwszą zwrotkę tego wiersza po esperanku:

„Budrys forta kaj sama, maljunulo Litvana,
Sur la korton alvokas tri filojn;
„Iru tuj en la stalojn,
Kaj akriku la gavojn, jetilojn”

Ale wróćmy na grunt łódzki. Powyższe uwagi na temat esperanta są wynikiem mojego udziału w obradach X Ogólnopolskiej Konferencji Nauczycieli Języka Esperanto, jaka odbywała się w Łodzi.

Uroczyste otwarcie obrad odbyło się w sali KŁ PZPR. Nauczyciele z całego kraju wysłuchali ciekawych referatów Stefana Palca, Tyburcjusza Tybelskiego i prezesa Zarządu Głównego Polskiego Związku Esperantystów, red. Jerzego Uścińskiego. W referatach tych podkreślono bardzo mocno aspekty internacjonalistycznego wychowania właśnie poprzez esperanto. I słusznie — możliwości ruchu esperanckiego w tym zakresie są naprawdę ogrom-

ne. Dowodem choćby osiągnięcia mgr Kozaczuka z PDD w Gdańsku-Oruni, który od lat wykorzystuje esperanckie kontakty młodzieży do wymiany grafiki i rysunków młodych artystów. Taką właśnie ciekawą wystawę otwarto w sali KMPiK. Znalazły się na niej malarstwo i rysunki dzieci ze wszystkich kontynentów — prace tematyczne związane z 25-leciem PRL. Okazuje się, że wymiana twórczości dziecięcej młodych esperantystów może być znakomitą propagandą osiągnięć naszego kraju, że dzięki temu pomostowi zyskujemy w dziełkach krajów małych ambasadorów Polski.

O tych wszystkich sprawach mówiono nie tylko w referatach, ale i w czasie obrad w poszczególnych sekcjach, które obradowały w LDK. Spośród imprez towarzyszących warto też wymienić uroczą sztukę J. Osiley pt. „Ptak Księżycowy”, wystawioną przez PTL „Pinokio” w języku esperanckim.

Tak więc ruch esperancki obok swych czysto praktycznych walorów „komunikacyjnych” niesie ze sobą autentyczne zbliżenie, umiejscowienie współzycia z przedstawicielami różnych narodowości, ras, wierzeń i kultur, współzycie w duchu tolerancji dla ich poglądów i odmienności. Jest więc esperanto ruchem, który sprzyja formowaniu się u ludzi tych postaw, jakie zgodne są z postulatami socjalizmu. Może powiedziałem to zbyt górnolotnie, jak na felieton — ale to jest po prostu prawda.

JERZY WILMAŃSKI



O PISARZACH SKANDYNAWSKICH

Niestrudzony badacz literatury niemieckiej, Aleksander Rogalski, ogłosił tym razem zbiór szkiców o pisarzach skandynawskich. Znajdziemy tu materiały o Ibsenie, Strindbergu, Lagerlöf, Hamsunie, Laxneście, Undset, Lundkvście i jeszcze paru innych. Aleksander Rogalski łączy umiejętnie dwie rzeczy: opis życia twórców i analizę ich dzieł. Dzięki temu dowiadujemy się ciekawych szczegółów biograficznych i możemy śledzić rozwój talentu poszczególnych pisarzy. Ale intencje i ambicje Rogalskiego sięgają jeszcze dalej. Sylwetki poszczególnych pisarzy rysuje on na tle epoki, uwzględniając panujące tendencje i kierunki filozoficzne. „Pod północnym niebem” jest publikacją niezwykle cenną i bodaj pierwszą tego rodzaju w języku polskim. Czytelnik uzyska nie tylko obraz życia i twórczości poszczególnych pisarzy, ale nabywa także wiedzy o literaturze skandynawskiej w ogóle. Wreszcie na uwagę zasługuje język Rogalskiego: jasny, klarowny, w miarę ścisły i rzeczowy. Polecam tę książkę miłośnikom literatury szwedzkiej, duńskiej i norweskiej.

Aleksander Rogalski: „Pod północnym niebem”. Sylwetki pisarzy skandynawskich, Wyd. Poznańskie 1969.

LISTY WITKIEWICZA

W 54 lata po śmierci Stanisława Witkiewicza, malarza i wybitnego krytyka, wydano jego „Listy do syna” czyli do Stanisława Ignacego, zwanego później Witkacym. Wyboru listów dokonały Bożena Danek-Wojnowska i Anna Mielńska, a pierwsza z autorek poprzedziła je instruktywną przedmową. Korespondencja ojca z synem zaczyna się w 1900 a kończy w 1915 roku to znaczy w roku śmierci Stanisława Witkiewicza. Tom zawiera indeks, w którym zamieszczone trzy ciekawe listy Stanisława Ignacego do ojca, rzucające nieco światła na ich wzajemne stosunki. Z tego ogromnego tomu listów wyłania się nie tylko ciekawa sylwetka senora Witkiewicza, ale również jego poglądy na sprawy wychowania, które pragnął stosować w stosunku do własnego syna.

„Listy do syna” są kopalnią informacji zarówno o życiu rodzinnym Witkiewiczów jak i o poglądach ojca na sztukę, historię, sprawy narodowe itp. Właśnie w tym miejscu, w poglądach na sprawy narodowe, najbardziej rozminęły się drogi ojca i syna, Witkacy, jak wiadomo, nie docenił lub nie chciał docenić tych zagadnień. Po chłonęty rozwinięciem swego systemu filozoficznego szukał raczej w sztuce, filozofii i literaturze rozwiązań ogólnych, uniwersalistycznych.

W każdym razie „Listy do syna” są książką wspólną, godną ze wszelkich miar zainteresowania. Wartość dodatkową przysądza jej duża ilość fotografii rodzinnych i reprodukcji obrzów ojca i syna.

JK.

Stanisław Witkiewicz: „Listy do syna”. Państwo wy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, str. 835, cena: zł 60.—

„Jesteśmy zwierzętami“

Dziennikarz angielski James Mills zdobył zaufanie grupy młodych narkomanów amerykańskich, przebywał z nimi prawie dwa miesiące, co zaś przeżył, opisał w „Reader's Digest”. Tekst reportażu podajemy z dużymi skrótami:

John i Karen zażywają heroinę cztery razy dziennie, wstrzykując ją sobie w obnażone ramię. W tych momentach mają twarze napięte, oczy przymknięte a potem jest spokój i odprężenie. Dla nich tylko heroina ma w życiu znaczenie. Wystarczy niewielki zastrzyk i wszystkie problemy tego świata stają się nagłe małe, śmieszne i nieważne. Dla kogoś nie wtajemniczonego John i Karen mogą czasem robić wrażenie szczęśliwej i zakochanej pary. Ale czy są do „supermarket” po zakupy, do kina, cokolwiek robią innego, zawsze myślą tylko o jednym. Skąd zdobyć heroinę? Narkoman będzie żebrał o heroinę, będzie za nią gonił w ciągłych, nie kończących się wędrówkach po całym olbrzymim mieście, okradnie własnych rodziców i zaryzykuje dla niej własne życie.

Narkomanów zażywających stale heroinę jest w Stanach Zjednoczonych kilkaset tysięcy. To oni dokonują ogromnej fłochi przestępstw, zwłaszcza kradzieży i rabunków dla zdobycia pieniędzy na narkotyki. To oni w głównej mierze spowodowali, że ulice najbardziej nawet nobliwych i szacownych miast Ameryki dawno już przestały być bezpieczne po zapadnięciu pierwszego zmroku. „Heroinista” jest człowiekiem wiecznie zajęтым, jak tylko otworzy oczy, zaraz sięga po kroplomierz, po igłę zwaną „spike”, po blaszaną nakrętkę od butelki. Do nakrętki wlewa troszeczkę wody, rzuca nieco heroiny, podgrzewa zapalną i miesza. Płyn wstrzykuje w ramię. To jest ten pierwszy poranny zastrzyk, który stawia na nogi, dodaje siły, nastroja optymistycznie i rozprasza obawy.

Cztery zastrzyki dziennie z heroiny kosztują w Nowym Jorku średnio 25 dolarów. Po to

jednak by kupić jej za 25 dolarów trzeba nakraść w ciągu dnia różnych towarów wartości 125 dolarów. Nowojorski paser nigdy więcej nie płacił jak jedną piątą wartości oferowanych mu przedmiotów. Takie są stawki. Wszyscy o tym wiedzą. To też „heroinista” zaraz po tym pierwszym zastrzyku szybko się ubiera i wyrusza na miasto w poszukiwaniu łupu. Musi się bardzo spieszyć. Zastrzyk działa tylko przez kilka godzin. Po tem jest całkowicie załamane i czarna rozpacz. Oczy mętnieją, nogi uginają się w kolanach, ręce trzęsą się jak w delirium. Na Boga, gdzie jest heroina?

John i Karen są parą raczej w tym środowisku typową.

Ona ma lat 26, on ma lat 24. Po raz pierwszy wykroczył przeciw prawu jeszcze przed zetknięciem się z narkotykami. Ona zaczęła pracować jako „prostitute” on kradł już jako kilkunastoletni chłopiec. John przebywał w więzieniu 10-krotnie, Karen 3-krotnie. Próbowali rozmałych narkotyków, zostali przy heroinie, tak jak prawdziwy znawca alkoholu zawsze w końcu zostanie nie przy piwie tylko przy winie. John i Karen żyją jak w małżeństwie, chociaż wcale nim nie są. Ona zarabia na ulicy, on dorabia kradzieżami. Muszą mieć za wsze trochę gotówki pod ręką, bo inaczej nie mieliby heroiny. Niekiedy nachodzi ich uczucie wstrętu do siebie i obrzydzenia.

Karen woła wtedy ze łzami w oczach: „Jesteśmy wszyscy zwierzętami, żyjemy w świecie zwierząt, tego świata rikt poza nami nie zna...”

Życie tej młodej pary ogniskuje się na rogu 71 ulicy w miejscu gdzie Broadway dochodzi do Amsterdam Avenue. Jest tam plac, nosi nazwę Sherman Square. Dla narkomanów to Needle-Park, park igły... Narkoman kręca się wokół tego placu, bo tu wszędzie pełno cór Koryntu, tanich hoteli, tanich kłosek i cudowne możliwości dokonania napadu na sa-

możnego przechodnia, który jest nieco zawiąany. Tutaj łatwiej też niż gdziekolwiek indziej o nawiązanie tych specyficznych kontaktów, bez których nikt nigdy w Nowym Jorku heroiny nie zobaczy. Detaliczny dostawca więc, „pusher”, kupuje heroinę od hurtownika i sprzedaje ją w małych opakowaniach po 25 dolarów.

Po jakimś czasie narkomani sami zgłaszają się do szpitali.

Ich organizm tak się uodpornił na narkotyki, że musieli dawki wciąż zwiększać, a to przecież kosztuje. Poddali się przeto kuracji odwykowej. Po wyjściu ze szpitala są z reguły w znakomitej formie. Wystarczy z początku minimalna nawet dawka heroiny i wszystkie kłopoty ulatują, świat robi się barwny i niezwykle zajmujący. John i Karen przebywali już w szpitalu w Lexington, w stanie Kentucky. Wyszli i teraz włóczę się przez cały dzień po Needle-Parku, odpoczywają na ławkach, tutaj Karen zarabia, John ściga z samochodów kawę w puszkach, suszarki elektryczne do włosów, tranżystory, nie gardzi też mięsnyimi konserwami. Można je bez trudu opylić najbliższym restauratorem.

Mają się ustawicznie na baczności.

Policjant „cop” wyspecjalizowany w zwalczaniu narkomanii wywoli heroinistę w największym nawet tłumie. Jednym rzutem oka rozpoznaje jakiegoś kto zażywa narkotyki, od jak dawna, w jakich ilościach i kiedy wzięł ostatni zastrzyk. Kto używa heroiny przez czas dłuższy, jest błądy, wycieńczony, na nic nie ma apetytu, interesują go tylko słodycze. Ma nimi zapchanie kieszenie. Kiedy narkoman wyczekuje koło Needle-Parku na „pushera”, wówczas ma o czynie wlepione w jeden tylko punkt, jest nerwowy i bez przerwy przestępuje z nogi na nogę. Wieczorem, kiedy już zażył kilka porcji heroiny, jego głowa staje się ciężka jak kamień, leci na boki, powieki są jak z ołowiu i żadną miarą nie dają się poruszyć. Umysł błądzi gdzieś po krainie baśni, jest w stanie całkowitego otepienia.

Pamiętam, że John zasznurował kiedyś swoje buty przez 30 minut, tak powolnie były jego ruchy, choć wcale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Niekiedy skutek potężnej dawki jest odwrotny.

Po kolejnym zastrzyku John w nagłym przypływie energii zrywał się na nogi, zaczynał czyścić swoje ubranie, obuwie, mył się i cesał, zakładał krawat pod szyję i zbierał najdrobniejszy pyłek z podłogi. Czerwił się ze wstydu i wy-

rzutów sumienia. Trwało to wszakże krótko, bardzo krótko. Po takim przeblasku przedsięwzięcia John znów wpadał w apatię i nie mogąc dłużej znaleźć sobie miejsca, wybiegał na ulicę po nową porcję heroiny. Kiedy w Nowym Jorku pada śnieg i jest przejmujące zimno, kiedy ulice i chodniki są jak wymiecione, tylko oni, narkomani stoją bez ruchu jak posągi na rogach i wyczekują nadejścia „pushera”. Dla nich sezonu nie ma. Muszą mieć zawsze heroinę.

Latem tylko oni noszą koszule z długimi rękawami, by ukryć ślady naktu na skórze.

Nawet w upalne dni lipcowe mają na sobie grube wełniane swetry. Im jest zawsze zimno. To jednak nieprawda, że narkotyki podlecąją i wzmagają potencję. Narkomanowi wystarczą sny i marzenia. Kobiety nie interesują go zupełnie. Bywało, że w samotności rozmawiałem z Karen na różne tematy. Przypominam sobie sierpniowy poranek. Karen spoczywała na gołym materacu w obskurnym hoteliku. W pewnej chwili spostrzegła wędrującą po materacu wesz. Wzdrygnęła się, schwytała wesz w palce i ostrożnie przyniosła na stolik. Przypatrywała się owadowi, który zamarał ze strachu, w milczeniu.

Wreszcie bąknęła:

— Boję się wszy, gdy chodzi po łóżku, ale kiedy ją postawię przed sobą na stole i zobaczę jaka jest mała, wtedy już bać się przestaje.

Karen, kiedy sięgnęła po raz pierwszy po narkotyki?

— Pamiętam, że bardzo bolał mnie ząb. John zrobił mi zastrzyk heroiny i ból przeszedł natychmiast. Ojej, jakie to fajne i przyjemne, pomyślałam i zaczęłam robić sobie zastrzyki sama. Kiedy zastrzyk działa, wtedy nie czuję już niczego i nic mnie nie obchodzi. Gdyby mi ktoś powiedział, że właśnie umarła moja matka to bym uśmiechała się, że tego nie słyszę.

— Co myślisz o tych innych, którzy też biorą heroinę?

— To świnie, nie mogą na nich patrzeć.

— A John?

— Mam dosyć nawet siebie samej kiedy widzę w lustrze jak wyglądam. Nic się nie da zrobić, żyje od jednego zastrzyku do drugiego, okradam też moich klientów, żeby mieć dolary. Ten towar kosztuje, nie zawsze można go dostać przy Needle-Park. Ubiegłej noc poszłam za heroiną aż do Harlemu na 112 ulicę. Kiedy wieczorem biorę ten ostatni zastrzyk, to muszę już mieć przygotowany jeszcze jeden na rano. Inaczej od razu robię się starą szmatą, która już do niczego się nie nadaje.

— Karen, co się z tobą stanie? — Nie wiem, myślę, że niedługo umrę. Wszystko mi już jedno i nic mnie to nie obchodzi.

Rozmowa z Johnem miała mniej więcej taki sam przebieg. W końcu go zapytałem.

— Kiedy z tym skończysz?

— Spróbuję się z tego wyrwać i rozpocząć życie od nowa.

— Kiedy?

— Przecież nie dzisiaj. Spróbuję z tym zerwać za tydzień, w poniedziałek...

Błądne koto, którego nie można rozerwać. Ale dlaczego? Prawdopodobnie potencjalni narkomani są w duchu przekonani, że nie mają w życiu żadnych szans, bo są doń źle przygotowani. Heroina wyzwala ich z depresji. Daje substytut zadowolenia i szczęścia. Heroina zabija wolę, ambicję, niszczy charakter, ba z czasem zabija też naturalne u człowieka uczucie głodu. Bez wszystkiego można doskonale się obejść, starczy porcja heroiny. Szczęście za którym inni gonią przez całe życie kosztuje rękawiczkę wyrzeczności i szalonej niekiedy mordercy, John może mieć za 25 dolarów, choć tylko na krótko... Potem przychodzą chwile rozpacz, nawet pewnego opamiętania. Człowieku, nie masz rodziny, nie masz domu, nie masz pracy, nie masz pieniędzy, jesteś sam jak ten palec. Jesteś brudny, rozczochrany i zawieszony. Przed tobą już tylko przepaść. W takiej chwili John usiłuje wyrwać się z błędnego ko-

ła. Niestety, nałóg zawsze okazuje się w końcu silniejszy... Tyle James Mills.

Właśnie przeczytałem w „Le Figaro”, że w roku, który minął zmarło w Nowym Jorku wskutek nadużywania heroiny 823 osób. Liczby te podał dr Michael Baden, zajmujący się zwalczaniem narkomanii. Większość zmarłych to młodzież obojętnej płci w wieku od 15 do 19 lat. Gazeta podała równocześnie, że w Rzymie zatrzymano grupę handlarzy narkotyków, wśród nich 22-letniego Henry Robina. W jego tecze znaleziono kilogram haszyszu. Na pozór notatka bez większego znaczenia. Nasuwa różne skojarzenia. Etymologowie francuscy słowo „assassin”, morderca, zbrodniarz, wywodzą od arabskiego słowa haschich, które oznacza indyjskie konople. Otóż z bezprzekładnego okrucieństwa zastąpił już we wczesnym średniowieczu północno-afrykańscy piraci. Od haschich, który zażywali namietnie i w ogromnych ilościach, nazwano ich „assassins”. I tak to zostało. Już wtedy wiadano, że piraci pod wpływem haszyszu wprowadzali się w stan maniackiej żądzy mordowania.

Może to w jakiejś mierze tłumaczy mord dokonany przez rarkomańską „rodzinkę” Manso na na żonie Polańskiego w Holy wood i jej przyjaźniolach?

Henry Robin szmuglował haszys z Turcji do Stanów Zjednoczonych.

Opracował JAN BABIŃSKI



Fot.: J. Neugebauer



Lewym okiem

WYKSZTALCENIE: DYREKTOR

Tygodniki, relacjonujące w prowadzonych przez siebie przeglądach prasy także ważniejsze polemiki prasy zagranicznej, wracali ostatnio kilkakrotnie do sprawy menażerów przemysłu, organizatorów produkcji, dyrektorów przedsiębiorstw. Sprawą tą zajmuje się żywo zarówno prasa zachodnia, jak i publicyści Związku Radzieckiego.

Nie mamy oczywiście ani warunków, ani odwagi po temu, aby zabrać głos w dyskusji. Może jednak wolno tu rzucić parę myśli całkiem laickich, jako że wszystko co dotyczy gospodarstwa bardzo nas obchodzi.

Radzieccy inicjatorzy dyskusji o kadrach kierowniczych stwierdzają, że dotychczasowa praktyka szpionowego awansowania pracowników na coraz wyższe funkcje kierownicze, w oparciu o wykazane zdolności i nabyte doświadczenia, jest błędna i nienowoczesna. Rezultatem — powiadają — jest fakt, że kierownictwo składa się przeważnie z ludzi starszych, mało podatnych na nowości technologiczne, że przemysł nie ma czasu czekać aż ktoś się wykaże i dojrzeje, bo się rozwija, bo potrzeby rosną lawinowo itd. Ze inżynierów uczy się obchodzenia z metalem, narzędziem, instrumentem, szkieletem i okiem, wobec czego potrafią świetnie produkować, ale nie uczy się obchodzenia z ludźmi — i dlatego awansowany świetny inżynier jest potem słabym dyrektorem. Ze należy wobec tego stworzyć osobne studium, kształtujące słuchaczy od

dziecka w odpowiednim kierunku, nadające młodemu człowiekowi dyplom dyrektora, tak jak technikum pielęgniarskie daje dyplom pielęgniarki. Szybciej produkować fachowców — dyrektorów!

Jest w tym na pewno dużo racji. Ale gdyby to była czysta, cała, kompletna racja, to analogicznie należałoby uruchomić studium generałów. Absolwent takiej szkoły w wieku lat dwudziestu czterech otrzymaby dyplom generała, a jednocześnie jego rówieśnik, absolwent szkoły dla pułkowników, wiedziałby raz na zawsze, że jest wybitnym specjalistą pułkownikiem i nigdy generałem nie zostanie; trzeci zaś rówieśnik doskonaliłby się całe życie w genialnym prowadzeniu musztry świątecznej jako podporucznik, absolwent specjalistycznego studium podporucznikowskiego na bardzo wysokiej uczelni.

Niebardzo zresztą rozumiem, dlaczego przemysł, piękniejący z dnia na dzień, musi czekać, aż ktoś się zestarzeje i osiągnie potrzebny — według tradycyjnych kryteriów doboru drogą wyboru, zwanego eliminacją — poziom wiedzy, doświadczenia i autorytetu. Czyżby bazę do takich eliminacji stanowili wyłącznie tegoroczni absolwenci uczelni technicznych, na których musimy czekać? Czy ci, co byli młodymi trochę wcześniej, stanowią absolutnie beznadziejną szarą masę, którą można tylko tolerować do czasu na średnich i niższych szczeblach dowodzenia? Nikt się nie wyróżniał przedwczoraj, wczoraj, dziś?

Wcale chyba nie trzeba czekać. Trzeba po prostu ciągle, bieżąco, nieustannie stawiać na ludzi tych co są, na ludzi w różnym wieku i w najróżniejszym stadium rozwoju zdolności, sił, talentu, energii. Trzeba ich umieć dostrzec — a tak, prawda, to nietatwa umiejętność. To właśnie ta umiejętność, która w dużym stopniu predestynuje na kierownicze stanowisko. Dobry kierownik to ten (oprócz świetnej wiedzy fachowej), który potrafi

ocenić każdego ze swych pomocników, ocenić, zróżnicować, dostrzec między nimi swego następcę i zastępcę, również umiejącego oceniać i dostrzegać. Gorszy chyba od niego jest taki, który czeka na przysianie ze stolicy gotowego kandydata z patentem szkoły zastępców. Jak z patentem — to śpimy spokojnie. Dobry!

No tak, spiritus flat, ubi vult. Talenta nie rodzą się na kamieniu i na pewno zdarza się, że w jakimś kombinacji pracuje obok siebie pięciu zupełnie wybitnych ludzi o świetnych warunkach dyrektorskich, z czego czterech do śmierci czekają na awans, to znaczy do śmierci tego piątego, właśnie dyrektora, a jednocześnie w innym kombinacji trzeba kogoś mianować i kłapa, i naprawdę nie ma kogo... Cytryny rozprowadza się równomiernie, rozdzielnikiem. Nikt nie wymyślił rozdzielnika na talenty, nie wierzę też w centralne kartoteki kadrowe jako idealne panaceum. W tymże samym Związku Radzieckim sięgnięto eksperymentalnie do metody, znanej i u nas, chociaż znów od paru lat zarzuconej: ogłasza się konkursy na kierownicze stanowiska! Kto się czuje na siłach — niech się pokaże! Ci czterech skwaszeni a ambitni z kombinatu zdolnych — pokażcie się!

Muszę powiedzieć, właśnie jako zupełny laik, że taka metoda bardziej mi odpowiada, tylko to najbardziej humanistyczna. Zostawia każdemu człowiekowi niczym nie zastąpiony motor wszelkiego działania: ambicję i nadzieję. Zostawia mu w torze marszałkowską butawę — idź i wykaż się! Pokaż co umiesz. Jeżeli zastąpimy współzawodnictwo — nie jakieś tam regulaminowe, tylko to naprawdę elementarne, powszechne, potrzebne w życiu jak powietrze — planowym rozdziałem ról w wieku pokwitania na role małe, średnie i duże — uchronię mnie, Futurologia, przed tak urządzonym światem!

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlieh (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamawia rekwizytów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 18 H-4.